

**CABOT
PATRICIA**

Gwiazdka

Przełożyła Eulalia
Przytulina-Czepna

Prolog

*Kilcairn, Szkocja
Grudzień 1827*

Udeszła. Znikła.

A on nie potrzebował słuchać żalnego chlipania pokojówki ani jej zapewnień, że nic nie wiedziała o planach ucieczki swojej pani. Sam widział, że jej nie ma.

Niewiele zabrała ze sobą. Jej pokój wyglądał dokładnie tak samo, jak przez tych dziesięć lat, które w nim przemieszkała. Tyle tylko, że niegdyś ukochane lalki ustąpiły miejsca innym drobiazgom, zazwyczaj kojarzonym z płcią piękną. Szafę do granic możliwości wypełniały najrozmaitsze ubiory: letnie, zimowe, poranne, spacerowe, podróżne i wieczorowe suknie, stroje do konnej jazdy i kreacje balowe, pelisy i szlafroczyki. Szufladki emaliowanej szkatułki, stojącej na komódce, też wypchane były sznurami pereł i złotymi łańcuchami, odziedziczonymi po jego matce.

Takie wiano zawróciłoby w głowie każdej innej dziewczynie. Że też musiał wziąć sobie na kark akurat tę jedną jedyną na świecie narzeczoną, dla której bajeczny posąg nic a nic nie znaczył!

Nawet mniej niż nic - sądząc po tym, co zabrała ze sobą

w podróż. Pobieżne oględziny wykazały, że z pokoju znikły jedynie dwa przedmioty, z którymi po raz pierwszy przybyła do MacLean Hall w ów zimny listopadowy dzień przed dziesięcioma laty. Była wtedy świeżo osieroconą, ośmioletnią dziewczynką o płomiennie rudych włosach i oczach błękitnych jak letnie niebo, okolonych smoliście czarnymi rzęsami, których widok powinien był stać się dlań przestrogą, że czekają go kłopoty. Prócz sukni na grzbiecie miała wtedy ze sobą tylko matczyne pierścionek zaręczynowy i kieszonkowy zegarek po ojcu.

No więc dobrze. Odeszła tak, jak stała. Widocznie zależało jej tylko na tych dwóch drobiazgach. Widocznie uważała, że niczego więcej nie potrzebuje, aby samodzielnie dać sobie radę w szerokim świecie.

Wystarczy obrączka, zegarek, no i oczywiście dwadzieścia tysięcy funtów.

Nie bardzo mógł oskarżyć ją o kradzież, skoro pieniądze te ulokowane były w papierach wartościowych. Był to zresztą jej własny kapitał, spadek po troskliwych rodzicach.

Gdyby jednak lepiej rozegrał tę partię, owe dwadzieścia tysięcy funtów mogłoby trafić do jego szkatuły, która, szczerze mówiąc w obecnej chwili zionęła pustką.

I może właśnie dlatego wpadł w taką wściekłość, dowiedziawszy się o ucieczce oblubienicy, choć niekoniecznie przecież musiał wyładowywać się na niewinnej pokojówce zbiegłej panny.

- Gdzie teraz jest? - zapytał, chwytając wieśniaczkę za chude ramiona i potrząsając nią tak, że spadł jej z głowy czepek. - Gadaj, gdzie ona teraz jest?

Pokojówka - na imię miała Nan, jeśli go pamięć nie myliła - jeszcze bardziej się rozszłochała, nie przestając go zapewniać, że jest tak samo jak on zaskoczona raptownym zniknięciem pani.

- Nawet mi do głowy nie przyszło, że ma zamiar wyjechać,

wielmożny panie! - Załkała. - Z niczego mi się nie zwierzała, chociaż zawsze wszystko mi mówi! A tym razem nic, ani słowa. Nawet wczoraj wieczorem, kiedy ścieliłam jej łóżko. Paplała o tym, co kucharz szykuje na wigilijną kolację i jak to ona nie może się doczekać tych smakołyków. A rano przynoszę śniadanie... tak jak zawsze to robiłam, odkąd tu przyjechała, z wyjątkiem tych lat, kiedy była w szkole, i widzę, że jej nie ma!

Wielmożny pan jeszcze raz nią potrząsnął, najwidoczniej nieprzekonany.

- Masz mnie za głupca? - zagrmiał. - Wiem, jak panienki plotkują ze swoimi pokojówkami. Na pewno ci coś powiedziała. Musiała ci powiedzieć. Dokąd się wybierała? Do Edynburga? Do Londynu? Bo przecież chyba nie do tego nieszczęsnego klasztoru, do którego na swoje utrapienie oddałem ją na naukę. Przynajmniej mam nadzieję, że nie uciekła do sióstr...

- Nie wiem!- zaskrzeczała Nan.- Błagam, wielmożny panie! Przysięgam na grób mojej matki, że nie wiem, dokąd panienka sobie poszła.

Nie miał jak sprawdzić, czy pokojówkę rzeczywiście odumarła już matka. Prawie nic nie wiedział o tej służącej, chociaż minęło już dziesięć lat, odkąd najął ją do opieki nad kłopotliwą wychowanką. A zanim dorosła już wychowankę jej prawny opiekun postanowił wziąć za żonę, Nan stała się pokojówką. Ale żeby miał się interesować jej rodzicami...

W końcu przestał nią potrząsać, bynajmniej jednak nie ze współczucia, jakie mogło w nim budzić rzekome sieroctwo, lecz dlatego, że lament służącej zaczął działać mu na nerwy. Niewątpliwie była histeryczką. Świadczył o tym chociażby fakt, że gdy tylko ją puścił, osunęła się na podłogę i jęła oblewać łzami czubki jego butów, dziękując mu, że łaskawie oszczędził jej batów.

Nie była to jednak łaskawość, lecz po prostu brak czasu.

Musiał czym prędzej odszukać zbiegłą narzeczoną, i to zanim uciekiniarka dotrze do traktu pocztowego. I tak miała nad nim przewagę kilku godzin, a jeśli uda jej się dotrzeć do zajazdu i wsiąść do dylizansu, niepodobieństwem będzie ją wytropić.

Należało wieczorem wziąć ją pod klucz. Głupiec z niego, że o tym nie pomyślał. Wiedział przecież, jaka potrafi być sprytna. Ta cholerna edukacja, za którą zapłacił - co prawda nie ze swoich pieniędzy, lecz z procentów od jej kapitału - okazała się o wiele za gruntowna. Doprawdy nie rozumiał, jaki cel przyświecał zakonnicom, gdy uczyły zasad platonizmu młode panny, które potem miały czelność ciskać w twarz szlachetnie urodzonym mężom całe traktaty filozoficzne. Przecież nie dalej jak wczoraj wieczorem tak właśnie postąpiła jego wychowanka.

Tym jednak razem znajomość sokratycznych dialogów nie na wiele miała jej się przydać... Chyba że - co wątpliwe - Sokrates udzielił Platonowi paru rad, jak najlepiej uciec od prawnego opiekuna.

Wyrwał stopę z objęć rozhisteryzowanej pokojówki i ryknął na służącego, żeby przyniósł mu płaszcz do konnej jazdy i spuścił psy.

Wybierał się na łowy.

1

Ale po co? - zapytał Niall.

- Po nic - odparł Euan, rzucając młodszemu o dwa lata bratu zagniewane spojrzenie. - Czy wszystko musi czemuś służyć?

- Wydaje mi się, że byłoby to bardzo miłe - przyznał Niall. - Lubię uporządkowany wszechświat.

Euan prychnął.

- No to powodzenia - rzekł sarkastycznym tonem.

Niall nie miał mu za złe tego sarkazmu. We wszechświecie jego brata rzeczywiście panował nieład, widoczny już na pierwszy rzut oka. Czworko z pięciorga jego dzieci biegło o parę kroków przed ojcem i stryjem. Co chwila zderzały się ze sobą albo z którymś z psów, a potem głową naprzód dawały nura w głęboki śnieg. Euan sprawiał takie wrażenie, jakby te ich przelotne zniknięcia wydawały mu się czymś najzupełniej naturalnym, natomiast Niall był nimi trochę zaniepokojony.

Jak dotąd jednak żadne z dzieci nie odniosło poważniejszych obrażeń. Po każdym upadku wyskakiwały z zasp, jak gdyby nic się nie stało, i dalej pędziły przed siebie. Tylko najstarszy, Collin - młody wicehrabia Kenworth - poświęcał nieco uwagi dwóm dorosłym.

- A ja wiem po co - rzekł przemądrzałym tonem dzieciolatka. - Po to, żeby na niej powiesić świecidełka.

- Jakie świecidełka? - zainteresował się Niall.

- Różne-odparł Collin, wzruszając ramionami. -Błaszane gwiazdki. Kiedyś powiesiliśmy takie z piernika, ale psy się do nich dobrały i zrobiły z nimi porządek. Aha, i jeszcze świeczki do zapalania.

- No dobrze ~ nie dawał za wygraną Niall, którego ciekawość nie została dostatecznie zaspokojona. - Ale co to wszystko ma symbolizować?

- Na miłość boską! - wybuchnął Euan. - Co za różnica? Musimy ją tylko wybrać i zaznaczyć, żeby Fergus wiedział która to, jasne? Potem będziemy mogli wrócić do domu, usiąść przy kominku i wypić grzańca. A na razie miej oczy otwarte i rozglądaj się za jakimś zgrabnym drzewkiem. Bo jak wrócę bez choinki, Irmgarda obłupi mnie ze skóry.

Słyszac imię bratowej, Niall uniósł ciemne brwi.

- Irmgarda? - powiedział. - Śmiem wątpić.

- No pewnie! - Euan zaśmiał się gorzko, puszczając kłęb dymu z cygaretki, którą trzymał w zębach. - Nigdy jej nie widziałeś w porze Gwiazdki, prawda? Kiedy ostatnim razem zjechałeś do domu na święta? Zawsze coś cię zatrzymywało. Najpierw szkoła w Edynburgu, a potem w Paryżu nauka puszczania krwi.

- Studia medyczne - spokojnie sprostował Niall. - Medycyna nie polega wyłącznie na puszczaniu krwi.

Jego brat odchrząknął z dezaprobatą.

- Akurat ci medycy, których miałem okazję widzieć, umieli najwyżej puszczać krew - odparł. - Ale chciałem tylko powie dzieć, że gdybyś nie siedział za granicą, ucząc się na łapiducha, tobyś zauważył, że odkąd się ożeniłem, Boże Narodzenie nabrało w moim życiu całkiem nowego sensu.

Trudno zaprzeczyć - pomyślał Niall. Choć z drugiej strony

jak można mówić o jakimś „nowym sensie”, skoro przedtem sens Gwiazdki w życiu obu braci był po prostu żaden? Ich ojciec, istny tyran, żelazną ręką sprawował rządy w Donnegal Manor i w okolicznych posiadłościach. Jedna z jego najbardziej niezłomnych zasad głosiła, że Boże Narodzenie i wszelkie podobne okazje należy skreślić z kalendarza, są to bowiem papistowskie wymysły, woda na młyn nieuczciwych ludzi, którzy chcą wykręcić się od pracy i pić więcej, niż im zdrowie pozwala. Żywił do tego święta na tyle głęboką odrazę, że pewnego razu wygnał dziewczkę służebną za to tylko, że ośmieliła się przypiąć do fartucha gałązkę ostrokrzewu.

Ojciec bynajmniej nie był w tym przeświadczeniu odosobniony. Niall niewielu znał Szkotów, którzy mieli w szczególnym poważaniu Gwiazdkę czy jakiegokolwiek inne święto, prócz tych uczciwych, szkockich, świąt - takich jak *Hogmanay*, czyli ostatni dzień roku. Natomiast wszystko, co zbytnio trąciło „papizmem”, denerwowało prawowiernych prezbiterian.

Ironia tej sytuacji polegała jednak na tym, że Henry Donnegal wcale nie był prezbiterianinem. Co więcej, nie był nawet Szkotem, w każdym razie nie z urodzenia. Tytuł księcia Camden otrzymał za zasługi, jakie oddał koronie podczas wojny z Francją, i potraktował ten zaszczyt -jak również idące z nim w parze obowiązki szlachcica - nader poważnie.

Chociaż wziął za żonę czystej krwi Szkotkę, ta zaś niebawem urodziła mu rdzennie szkockich synów, między nim a jego najbliższym sąsiadem, hrabią Sutherland, od początku powstała animozja. Dumny hrabia niechętnym okiem patrzył na kilt parweniusza, który sam skomponował jego rzekomo rodowe barwy. W późniejszych latach syn hrabiego przy każdej okazji pomiałał Euanem i Niallem. Mimo to Henry Donnegal szybko przystosował się do nowego życia, jakby zapominając, że nie urodził się jako Szkot...

Po jego śmierci Euan odziedziczył tytuł i sprowadził swoją

żonę Niemkę oraz szybko mnożące się potomstwo do dworu, w którym on i Niall urodzili się i wychowali. Już niebawem stało się rzeczą zwyczajną, że w Donnegal Manor hucznie obchodzi się święta, a zwłaszcza jedno z tych najbardziej papistowskich.

- Irmgarda uparła się, że zafunduje dzieciom najlepszą Gwiazdkę, jaką kiedykolwiek przeżyły - wyjaśnił Euan dość uroczystym tonem. - Bo to będzie ich pierwsza Gwiazdka. Chciałem powiedzieć: pierwsza w nowym domu. No więc moja żona życzy sobie, żeby wszystko było jak należy. Ja tam w ogóle się na tej całej sprawie nie wyznaję. Tylko się daję prowadzić i trzymam język za zębami. Bo inaczej, jak już ci mówiłem, żywcem obdarłaby mnie ze skóry.

Niall daremnie próbował sobie wyobrazić, jak by to wyglądało, gdyby jego drobna, lnianowłosa bratowa - którą Euan poślubił wbrew surowym zakazom ojca, ponieważ ani nie miała tytułu szlacheckiego, ani nie mogła spodziewać się bogatego spadku, a jeszcze na domiar złego była cudzoziemką - zechciała obdrzeć ze skóry jakiegokolwiek stworzenie, a co dopiero swojego potężnie zbudowanego męża. Niallowi wydawała się najbardziej zrównoważoną istotą na kuli ziemskiej. Była zawsze pogodna, choć od ponad dziesięciu lat ledwo wiązała koniec z końcem, mieszkając w domu o wiele za małym dla jej szybko rozrastającej się rodziny, stary książę postanowił bowiem zamknąć kiesę przed pierworodnym synem, skoro ten ożenił się wbrew jego woli, tak jak i młodszego przestał utrzymywać, gdy ten obrał karierę medyczną.

Mimo gorliwych starań ojciec nie zdołał jednak zapobiec temu, żeby Euan odziedziczył po jego śmierci tytuł książęcy wraz z dworem. Nie udało mu się też roztrwonić całego majątku, tak aby nic nie zostało dla synów. Dopiero kiedy umarł, synowie zaczęli żyć wygodnie, a nawet dostatnio - po raz pierwszy, odkąd osiągnęli pełnoletność. I choć powinni

byli nosić żałobę po nieboszczyku, często zdarzało im się -a zwłaszcza Niallowi - zapomnieć o czarnej przepasce, którą należało co rano wsunąć na rękaw.

- A może ta? - zapytała Una, najstarsza córka Euana, rzucając się pędem w stronę jodły, która miała blisko siedem metrów wysokości.

- Za duża - orzekł ojciec. - A zresztą nie sędzę - dodał, wracając do rozmowy, którą brat zdążył już uznać za skończoną - żebyś miał kiedykolwiek w życiu spędzić z nami jeszcze jakąś Wigilię prócz dzisiejszej. Dokąd się wybierasz, skoro już dostałeś ten swój dyplom łapiducha? Na Borneo?

Niall uśmiechnął się.

- Chyba nie aż tak daleko - odparł. - Ale chciałbym pojechać gdzieś, gdzie moje umiejętności rzeczywiście mogłyby komuś przynieść pożytek. Nie mam zamiaru praktykować w Londynie - dodał twardszym tonem. - Ani nawet w Glasgow, bo tam leczyłbym tylko ludzi interesu, skarżących się na podagrę, i umierające z nudów damy.

- No jasne - stwierdził Euan. - To nie dla ciebie zajęcie. Ty przecież nie będziesz zadowolony, póki nie znajdziesz lekarstwa na tyfus, że nie wspomnę o innych zarazkach, które pustoszą świat. Ale przed wyjazdem lepiej znajdź sobie kobietę.

Niall potknął się o ukryty w śniegu korzeń i byłby runął na twarz, gdyby nie chwycił brata za ramię.

- Coś ty powiedział? - zapytał, kiedy złapał równowagę. Był pewien, że się przesłyszał.

Euan szedł dalej równym krokiem.

- To, co słyszałeś - odparł. - Zastanówmy się, kto z naszych znajomych ma córki na wydaniu?

- Nie potrzebuję twojej pomocy jako swata - odrzekł Niall, w którym rozbawienie szło o lepsze ze zgrozą, jaką budził w nim sam pomysł małżeństwa. - A zresztą w tej chwili moja sytuacja uniemożliwia mi ożenek.

- Bzdury. - Euan coraz bardziej zapalał się do swojego pomysłu. - Masz przecież pięć tysięcy rocznego dochodu. Nie ma w Anglii ani jednej kobiety wolnego stanu, której nie zakreśliłoby się w głowie na myśl o pięciu tysiącach rocznie.

Jego brat pokręcił głową, ubawiony obrotem, jaki przybrała rozmowa.

- Słuchaj, nie mam zamiaru żenić się ani teraz, ani w żadnej w miarę bliskiej przyszłości.

- Czemu nie? Nie taki przecież z ciebie brzydal. Całkiem nieźle się prezentujesz. Jestem pewien, że znalazłoby się mnóstwo...

- Wiem, że by się znalazło - odparł Niall, utkwivszy gniewne spojrzenie w czubkach własnych butów. - Irmgarda na pewno zna wiele młodych kobiet, z których każda świetnie nadawałoby się na żonę... dla kogoś przeciętnego. Ale nie dla mnie. Moją żoną, gdybym w ogóle miał zamiar się żenić, musiałyby być kobieta skłonna sprostać niemałym trudnościom. Choćby ten jeden warunek absolutnie wyklucza wszystkie dziewczyny, jakie ostatnio poznałem w Paryżu, w Londynie, a nawet i w Glasgow. Czy wiesz - ciągnął z rosnącym oburzeniem - że jeszcze nigdy nie przedstawiono mi młodej panny, która naprawdę rozumiałaby, czym jest tyfus, nie mówiąc już o tym, żeby umiała napisać to słowo bezbłędnie? Potrafią rozmawiać tylko o balach, sukniach i o tym, co lady Hanson powiedziała w zeszły wtorek hrabiemu McKonnickey. Nie mam najmniejszej ochoty przez resztę życia słuchać takiej paplaniny.

Gdy skończył tę tyradę, zapadła cisza, zakłócana jedynie chrzęstem śniegu pod ich stopami i ziązaniem psów.

- Doprawdy, nie zdawałem sobie sprawy, że wasza królewska mość ma wobec kobiet tak wysokie wymagania - rzekł Euan po chwili.

Nieco zawstydzony swoim wybuchem, Niall odparł:

- Łatwo ci mówić. Znalazłeś jedyną kobietę, z którą warto było się żenić.

- Owszem. Ale muszą przecież być jeszcze na świecie jakieś panny w tym samym typie co ona.

- Nie ma ani jednej - z mocą oświadczył Niall. - Wierz mi. Szukałem.

Rzeczywiście szukał. Ale wszystkie młode niewiasty, które poznał na koncertach, kolacjach czy balach, jedynie utwierdzały go w przekonaniu, że zarówno we Francji, jak i w Anglii sposób, w jaki wychowuje się dorastające panny, pozostawia wiele do życzenia. Wyglądało na to, że te młode osóbkę nie wiedzą nic a nic o matematyce i innych naukach ścisłych, a o sztuce i literaturze mają zaledwie mgliste pojęcie, są natomiast szczegółowo poinformowane o życiu sąsiadów. Rozmowy z nimi wydawały się Niallowi w najwyższym stopniu nużące.

Chociaż, owszem, potrafił docenić ładną buzię i kształtną figurę. Wiele znajomych dziewcząt ogromnie go pociągało.

Przynajmniej póki nie otworzyły ust.

Rozmyślając nad tym ponurym stanem rzeczy, nie od razu zdał sobie sprawę, że psy zaczęły ujadać, a Collin krzyczy na nie, żeby się uciszyły.

- Barley! - wołał chłopiec. - Samson! Doily! Do nogi! Ale już!

Niall podniósł wzrok.

- Co te psy raptem napadło? - zdziwił się.

~ Pewnie zwęszyły lisa - wyjaśnił Euan. - Albo Cyganów. Niedawno rozbili obóz koło owczego pastwiska.

- No to może ta? - powiedziała Una. Ciągnąc za sobą braciszka Rory'ego, który z posępną miną trzymał ją za rękę, wskazała palcem ponadtrzymetrową jodłę.

- Aha - rzekł Euan. - Ta będzie w sam raz. Masz dobre oko, Una. Przynies toporek, Collin, to ją zaznaczymy, żeby Fergus wiedział, którą ściąć.

Tymczasem Collin usiłował wziąć w karby niesforne psy, te bowiem zachowywały się tak, jakby bez reszty zafascynowała je wielka dziupla w potężnym dębie, który miał ponad metr w obwodzie i blisko trzydzieści pięć metrów wysokości. Niall znał to drzewo. Piorun raził je przed stoma laty - tak przynajmniej twierdził Fergus, który był leśniczym u księcia Camden, odkąd młodszy z braci Donnegalów pamiętał - ale go nie obalił. Tylko w dolnej części pnia pojawiła się długa szczelina - dość szeroka, żeby chłopiec oplakujący śmierć matki mógł wśliznąć się do środka i zafundować sobie kilka godzin samotnego lamentowania.

Tak, tak. Nialla łączyła z tym dębem wieloletnia znajomość.

Teraz zaś niewiadoma istota - może ludzka, a może nie - która w tej właśnie dziupli się schroniła, zapewne zdążyła już pożałować, że wybrała tę akurat kryjówkę, bo psy całym stadem obiegały drzewo i wywiesiwszy języki, machały ogonami, ujadając przy tym, jakby nigdy nie miały przestać.

- Dość już tego piekielnego jazgotu! - z obrzydzeniem powiedział Euan. - Milczcie mi tu zaraz, wy parszywe bestie, bo każę was wystrzelać do nogi.

- Powiedz nam, Collin, jaką to zwierzynę tak wystawiają?! - ze śmiechem zawołał Niall do bratanka. - Lisa, a może królika?

- To nie lis ani królik - odparł po chwili chłopiec. - To jakaś pani.

2

Niall podszedł bliżej do drzewa i naocznie się przekonał, że bratanek powiedział prawdę. W dębie musiała chować się jakaś pani, a w każdym razie kobieta, bo ze szczeliny w pniu wystawał rąbek ciemnej spódnicy.

Po chwili ukazała się twarz, ukryta w cieniu czepka lamowanego futerkiem. Nieznajoma ostrożnie wyjrzała z dziupli, po czym - widocznie nie zdając sobie sprawy, że i tak już ją zauważono - dała nurka z powrotem do kryjówki, i to tak raptownie, że ciemna spódnica zakotysała się, odsłaniając liczne halki, które błysnęły iście śnieżną bielą.

Psy ujadają jak szalone. Niall spostrzegł, że dwoje rąk w rękawiczkach wyłania się ze szczeliny w pniu i gestem próbuje uspokoić zwierzęta.

Euan zaklął plugawie.

- Cyganka - mruknął półgłosem. - Akurat potrzeba nam było tego ambarasu. Teraz już nieprędko wrócimy do domu na grzańca.

Niall nie bardzo rozumiał, co brat chce przez to powiedzieć. Póki żył stary Henry Donnegal, Cyganie nie mieli wstępu na teren jego posiadłości, chociaż ani jemu, ani mieszkańcom

pobliskiej wioski Kilcairn nigdy nie sprawiali kłopotu. Ilekroć jednak w okolicy pojawiał się tabor, stary hrabia natychmiast wysyłał pachołków z kijami, a nieraz i z bronią palną.

Niall był jednak pewien, że w piersi Euana bije miększe serce.

Ledwie minęła sekunda, zrozumiał, co brat miał na myśli. Collin utorował sobie drogę wśród psów i zagadał ukrytą w drzewie kobietę:

- Proszę pani - rzekł uprzejmie. ~ Proszę się nie bać naszych psów. One nikomu nie zrobią krzywdy. Czy moglibyśmy pani w czymś pomóc? Zabłądziła pani?

Euan stęknął z niesmakiem, przysłuchując się temu popisowi dziecięcej wielkoduszności.

- Wszystko przez Irmgardę - sarknął. - Przez nią i przez to jej świętowanie Wigilii. Nabiła dzieciom do głów całe mnóstwo bzdur.

Nieznajoma musiała pewnie coś odpowiedzieć chłopcu, ale Niall nie dosłyszał jej słów, bo sam je zagłuszył, chrzęszcząc butami po śniegu.

- Nie, nie - mówił tymczasem Collin. - Proszę go zatrzytać. Mnie niepotrzebny. Nie jestem biedakiem, proszę pani.

- Zapewniam cię, młodzieńcze... - Sądząc po głosie dobiegającym z dziupli w dębie, kobieta, w żadnym razie nie mogła być Cyganką. Nie było w nim śladu romskiego akcentu. Niall miał wrażenie, że nieznajoma mówi z czysto szkockim akcentem, a w dodatku musi chyba być osobą wykształconą, chociaż na tym odludziu wykształcone kobiety nieczęsto się spotykało. - Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

Kiedy Niall przedarł się wreszcie wśród psów i stanął obok bratanka, zobaczył, że ten stoi z ręką wyciągniętą przed siebie, a pośrodku jego rękawicy z jednym palcem leży szczerozłoty suwerek. Twarz chłopca wyrażała najgłębszą udrękę.

- Ależ proszę - nalegał. - Musi pani go przyjąć. Dziś przecież Wigilia.

- Doskonale wiem, jaka jest dzisiejsza data - uszczypliwym tonem odparła kobieta. - Ale niepotrzebna mi jałmużna. Dzień kuję za dobre chęci.

Niall musiał odepchnąć kolanem kilka psów, zanim zdołał podejść dość blisko, żeby zobaczyć, z kim to bratanek prowadzi, tak osobliwą rozmowę.

Ledwie jednak ujrzał twarz kobiety, która znalazła schronienie w jego kryjówce z czasów dzieciństwa, zastygł w bezruchu i już wcale nie czuł, że psy trącają go w nogi.

To nie Cyganka - pomyślał.

- Ale przecież to jest funt! - nalegał Collin zdruzgotanym tonem. - Cały funt! Może pani za niego kupić mnóstwo rzeczy.

- Bardzo jesteś szczodry, młodzieńcze - odparła dziewczyna. Była bowiem dziewczyną, a nie kobietą.

Niall stwierdził w duchu, że na najwyżej dwadzieścia lat. Była przy tym - mówiąc najprościej, bez zbędnych finezji - prześliczna.

- Ale przecież już powiedziałam, że nie jestem żebraczką - ciągnęła. Tak naprawdę to i ja mam dość spory majątek. O, proszę.

Z tymi słowy otworzyła sakiewkę z kosztownej skóry, tak jak i czepek oblamowaną bobrowym futrem. Kiedy przechyliła ją, żeby Collin mógł zajrzeć do środka, błysnęło złoto.

- Jak widać, potrafię się obejść bez panicza szczodrobliwości, chociaż, owszem, dziękuję za troskę - rzekła, zamykając sakiewkę.

Szczodrobliwość. Niall powtórzył sobie w duchu to słowo. Szczodrobliwość, powiedziała. Wydało mu się bardzo dziwne, że tak długi wyraz padł z tak bardzo kobiecych ust. Od dziewczyn dorównujących jej urodą zazwyczaj słyshał słówka, które wymagały od języka nie większej gimnastyki niż powiedzenie „tak”, „nie” lub po prostu nieartykułowane westchnienie.

- Za pozwoleniem. - Z najbardziej arystokratyczną miną,

jaką zdołał przybrać, odezwał się księżę, wyraźnie rozdrażniony tym, że pojawienie się dziewczyny zakłóciło przebieg wyprawy po choinkę. Cisnął w śnieg cygaretkę, wypiął pierś i zadarł głowę, jakby chciał rzucić wyzwanie wiatrowi. - Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, że wkroczyła pani na prywatny teren księcia Camden.

Kiedy dziewczyna pochyliła głowę w stronę Euana, spod jej szykownego czepka wymknęło się kilka jaskraworudych pukli.

- Oczywiście, że wiem - odrzekła wyniośle. - Przecież idę do niego z wizytą.

Euanem mocno wstrząsnęło to oświadczenie.

- Z wizytą do księcia Camden? Idzie pani go odwiedzić? - upewnił się.

- W rzeczy samej - przytaknęła. - Nie muszą się więc panowie o mnie troszczyć. Żegnam.

Chociaż powiedziała to takim tonem, jakby rzeczywiście chciała natychmiast stracić ich z oczu, nie wyszła z dziupli. Euan, który ku ogromnemu zażenowaniu Nialla przyglądał jej się, jakby była egzotycznym okazem w jakiejś menażerii, tylko przestąpił z nogi na nogę.

- A czy miała już pani kiedyś sposobność osobiście spotkać księcia? - zapytał.

- Oczywiście - padła oburzona odpowiedź. - Wiele razy. Ale nie rozumiem, co panu do tego.

Niall usłyszał, że brat nabiera głęboko powietrza, i natychmiast zrozumiał, co się za chwilę stanie. Euan twierdził, że Irmgarda ma pory wcze usposobienie, lecz on ani trochę jej pod tym względem nie ustępował. Jeśli komuś tego wieczoru groziło obłupienie ze skóry, to raczej rzekomej Cygance aniżeli obecnemu księciu Camden, oprawcą zaś mógł się w tym przypadku stać właśnie on.

Aby zapobiec nieszczęściu, Niall szybko wkroczył między brata a stojącą w dziupli dębu młodą damę o niewyparzoną języku.

- Księżę nie żyje, proszę pani - wyjaśnił. - Ja, lord Niall Sylvester Donnegal, jestem jego synem. To zaś jest mój starszy brat, Jervis Euan MacInemey Donnegal, nowy księżę Camden, hrabia Glenridge i...

- Nie żyje? - powtórzyła dziewczyna z niedowierzaniem i już bez cienia zuchwalstwa. Głos jej drżał, lecz z pewnością nie dlatego, że onieśmieliły ją dostojne imiona i tytuły, które wyrecytował Niall, choć kogoś innego litania ta mogłaby nieźle oszołomić.

Ale dziewczyna ani trochę nie sprawiała wrażenia oszołomionej. Wyglądało na to, że jest wstrząśnięta z całkiem innego powodu.

- Więc księżę nie żyje? - powtórzyła raz jeszcze.

W tej właśnie chwili Niall zwrócił uwagę na jej oczy - promiennie błękitne, a przy tym olbrzymie. Ich wielkość uwydatniała drobna, lecz cudowna osobliwość, którą matka Nialla zauważyła niegdyś u dziecka pewnego dzierżawcy i uznała za znamię elfa: długie czarne rzęsy przy płomiennie rudych włosach. Niall wiedział, że taka kombinacja uchodzi w tej części Szkocji za coś wielce podejrzanego, zgodnie bowiem z miejscową mądrością ludu każdy rudzielec o czarnych rzęsach niechybnie musiał być odmieńcem ~ dzieckiem, które głuchą nocą elfy podrzuciły do kołyski, porywając z niej ludzkie niemowlę.

Lecz elfy, jak wiadomo każdemu porządnemu Szkotowi, przecież nie płaczą. A tymczasem Niall widział wyraźnie, że kobaltowe oczy dziewczyny z dziupli są pełne łez.

Ponieważ nie darzył zmarłego ojca zbyt dużym uczuciem, mocno zbił go z tropu widok nieznajomej, która wystarczająco polubiła starca, żeby na wieść o jego śmierci łzy stanęły jej w oczach.

- Hmm - mruknął. - No, cóż, niestety. Ale nie trzeba tak... przecież nic pani nie zawiniła, że dopiero teraz się dowiaduje. Ojciec zmarł całkiem nagle. Jeśli chciała pani zwrócić się do

niego z jakąś sprawą - ciągnął, rozpaczliwie usiłując wymyślić słowa pociechy, bo dziewczyna zachowywała się tak, jakby była głęboko nieszczęśliwa - to może brat i ja moglibyśmy w czymś pomóc. Bo my...

Spuściła głowę, kryjąc twarz w cieniu czepka, spod którego dobiegło zwięzłe „nie”, wypowiedziane zdławionym głosem.

- Że też i on musiał... - dodała po chwili. Tyle przynajmniej zrozumiał Niall, wyszeptała to jednak tak cicho, że mógł się przesłyszeć.

- Proszę mi wierzyć, że śmierć miał lekką- zapewnił ją, oszołomiony jej burzliwą reakcją. - Podobno umarł we śnie...

- Kiedy? - przerwała mu i podniosła głowę, utkwiła w nim niebiańskie spojrzenie, którego przenikliwość odebrała mu resztkę spokoju. - Kiedy zmarł?

- Prawdę powiedziawszy, już kilka miesięcy temu - odparł z niejakim zakłopotaniem. - Ściśle mówiąc, w sierpniu.

- A ja ostatnim razem widziałam go w lipcu - szepnęła jakby do siebie. Znowu spuściła głowę, a gęste smoliste rzęsy dotknęły koniuszkami policzków. Kiedy się znów odezwała, jej głos zabrzmiał tak cicho, że Niall nie był pewien, czy tym razem jednak się nie przesłyszał. Wydawało mu się, że powiedziała:

- Moja wina.

Ale to przecież nie miało sensu. W jaki bowiem sposób ta dziewczyna mogła być winna śmierci jego ojca?

Lecz ona już po sekundzie opanowała się i podniosła głowę.

- Szczerze ubolewam nad śmiercią księcia - rzekła z powagą. - Mam nadzieję, że zechcą panowie przyjąć wyrazy współczucia. Wasz ojciec był człowiekiem o wielkim sercu. Pozostawił po sobie puste miejsce, które nieprędko się wypełni.

Donnegalowie spojrzeli po sobie. Widząc rozdziawione usta brata, Niall zrozumiał, że Euan jest nie mniej od niego zdumiony. Oto bowiem mieli przed sobą zjawisko, z jakim żaden

z nich nigdy dotąd się nie spotkał: kogoś, kto szczerze lubił ich ojca... kogoś, kto twierdził, że był on człowiekiem o wielkim sercu! Niall nie przypominał sobie, żeby starszy książę komukolwiek choć raz w życiu okazał serce - wyjąwszy psy i konie, które rzeczywiście darzył gorącym uczuciem. Nie bardzo jednak mieściło się w głowie, że mógł też polubić tę smukłą dziewczuszkę. Przecież młodość innych tylko go niecierpliwiła, a uroda nie robiła na nim żadnego wrażenia.

Ale może nie znał własnego ojca aż tak dobrze, jak mu się zdawało. Ponieważ Euan był najwidoczniej zbytnio oszołomiony, aby odpowiedzieć na szczerze wyrazy współczucia ze strony dziewczyny, Niall postanowił wziąć na siebie to brzemię, które zresztą bynajmniej nie było mu niemiłe. Powiedział więc z całą galanterią, na jaką potrafił się zdobyć:

- Wielka to pociecha, że nasz ojciec przeżył swoje ostatnie lata pod tak troskliwą opieką sąsiadów. A skoro jest pani pewna, że nowy książę w niczym pani nie pomoże, czy będzie mi wolno odprowadzić ją do domu? Wiatr chyba się wzmacnia. Klimat i pora roku nie sprzyjają podróży, zwłaszcza gdy rusza w drogę młoda kobieta bez eskorty.

Niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe. W ich szafirowej głębi dostrzegł coś, co najpierw przesłonięte było zuchwalstwem, a później łzami: w oczach nieznajomej czał się lęk.

Właściwie nie tyle lęk, ile jawna zgroza.

Gdyby bała się psów, byłoby to jeszcze skądinąd zrozumiałe. Nie mogła przecież wiedzieć, że te groźne na pozór bestie są w istocie łagodne, wręcz potulne. Ją jednak przerażało widocznie coś zupełnie innego, bo Niall zauważył, że dłonią w rękawiczce pogłaskała po uchu Samsona, ogromnego wilczarza, który nieomal dorównywał jej wzrostem.

Niemożliwe, żeby bała się Nialla, a nawet Euana, choć ten drugi stroił srogie miny. Obaj co prawda mogli swoim wyglądem onieśmielać: wysocy, a przy tym smagli jak Cyganie. Kobieta

miałaby prawo poczuć się odrobinę nieswojo, gdyby spotkała ich w odludnym lesie, i to podczas takiej zawiei. Ale przecież była z nimi cała gromada dzieci! Jedna dziewczynka uczepliła się poły ojcowskiego płaszcza i płakała, że chce na ręce. Dwoje innych małców właśnie zaczęło obrzucać się sosnowymi szyszkami, bo śnieżki okazały się, widać, niewystarczającą bronią. Dwaj mężczyźni otoczeni tak liczną dzieciarnią nie mogli chyba przerazić kobiety, która wyszła cało z rozmowy ze starym księciem, choć akurat w Niallu budził on większą trwogę niż ktokolwiek na świecie.

Nie było jednak cienia wątpliwości: dziewczyna czegoś się bała.

Ale czego właściwie, jeśli nie psów i nie ich panów?

- Och, nie - odparła czym prędzej, odrzucając propozycję Nialla. W jej głosie nie słychać już było ani odrobiny lęku. Zdołała stłumić - a przynajmniej ukryć - zarówno ową tajemniczą bojaźń, jak i wstrząs, wywołany wiadomością o śmierci księcia. Zachowywała się teraz naturalnie, beztrusko. Takie w każdym razie stwarzała pozory. - Bardzo pan łaskaw, ale nie potrzebuję eskorty. Zmierzam w stronę traktu pocztowego, jeśli więc nie mają panowie nic przeciwko temu, żebym przechodząc przez ich posiadłość, skróciła sobie drogę...

- Do traktu pocztowego? - zdziwił się Niall. - Czy nie mówiła pani przed chwilą, że wybiera się do mojego ojca?

- Tak, tak, oczywiście, ale skoro już wiem, że on...

- Przecież nie może pani ruszyć w podróż przy takiej pogodzie?

- Och, to drobnostka - zapewniła go. - Już nieraz w takich warunkach podróżowałam.

- Sama? - spytał Niall, unosząc brwi. Był zaszokowany wiadomością, że taka młoda dziewczyna ma zwyczaj podróżować samotnie. Nigdy dotąd o czymś podobnym nie słyszał. - Cóż sobie myślą pani krewni, że pozwalają pani samopas wędrować tak daleko?

- Przypuszczam, że uważają mnie za roztropną osobę, która doskonale potrafi przenosić się z miejsca na miejsce bez pomocy mężczyzny - odparła nieco jadowitym tonem.

Niall zamrugał. Wielkie nieba! A więc to jedna z tych! Coś podobnego! Nigdy by nie pomyślał. Przecież wcale na taką nie wygląda.

- Proszę chociaż pozwolić, żebyśmy odprowadzili panią do traktu i poczekał, póki nie nadjedzie dylizans - nalegał.

- Bardzo pan dobry - odparła niewzruszenie. - Za nic w świecie nie chciałabym nadużyć pańskiej łaskawości. Z ławością trafię sama. Żegnaj panów.

Donnegalowie po raz kolejny porozumieli się spojrzeniem. Niall znał oczywiście ze słyszenia ten osobliwy rodzaj nowoczesnych młodych kobiet, które uważały, że płeć piękna winna być traktowana sprawiedliwie, czyli na równi z mężczyznami. Owe zwolenniczki Mary Wollstonecraft i jej podobnych konsekwentnie odmawiały zarówno wachania soli trzeźwiących, jak i wspierania się na męskich ramionach. Niall nie spodziewał się jednak, że osobiście spotka jedną z tych egzotycznych istot, a już zwłaszcza w Kilcairn. I oto we własnej - a raczej brata - posiadłości ujrzał dziewczynę, która najwidoczniej zaraziła się ostrą postacią owej rzadkiej choroby.

W dodatku była zaprzyjaźniona z jego ojcem! Ze starym księciem, który miał wyrobione zdanie o młodych - i nie tylko młodych - kobietach, podróżujących samotnie.

Niall nie wątpił, że jej zamiar jest w najwyższym stopniu nierozważny, byłby może jednak uszanował życzenie dziewczyny i poszedł własną drogą, gdyby nie lęk, który dostrzegł w oczach nieznanym. Lęk oraz fakt, że nie bardzo kwapiła się wyjść z dziupli. Wyraźnie czegoś - albo kogoś - się bała, chociaż starała się tego nie okazywać.

Lecz Euan nie zauważył jej trwogi i wyraźnie miał już dosyć tych igraszek. Do jego zniecierpliwienia przyczyniała się

zapewne pięcioletnia Margaret, którą co prawda wziął tymczasem na ręce, ona jednak teraz dla odmiany płakała, że chce do domu.

- Na miłość boską - warknął, widząc wahanie brata. ~ Nie chce naszej pomocy, to łaski bez. Pamiętaj, że mamy dziś parę innych spraw do załatwienia.

Niall przeklął w duchu jego obojętność, dziewczyna bowiem natychmiast przeniosła spojrzenie z młodszego na starszego brata i powiedziała chłodnym tonem:

- Skoro tak, proszę czym prędzej nimi się zająć, a ja postaram się jak najszybciej opuścić pańską posiadłość.

Euan stwierdził, że może już umyć ręce od całej tej historii. Tym między innymi różnił się od brata, że był pozbawiony wrodzonej ciekawości i nigdy nie czuł pociągu do rzeczy niewytłumaczalnych.

Był też -jak z goryczą pomyślał Niall ~ szczęśliwym mężem i nie interesowały go inne kobiety.

- Doskonale - powiedział Euan. Wziął toporek i pomaszerował w stronę drzewa, które wybrała Una. - Collin! - zawołał przez ramię. - Chodź no tu i pomóż mi naznaczyć to drzewo. Pani nie potrzebuje twojej pomocy.

Ale chłopiec ani drgnął. Może po prostu wziął przykład ze stryja, który też nie ruszył się z miejsca. Niall zaś stał jak wryty, ponieważ dziewczyna także pozostała w dziupli.

Widział jednak, że jej upór słabnie. W lazurowych oczach coraz mniej było tej niezłomnej determinacji, która dotąd szła w nich o lepsze z zagadkowym lękiem. Widocznie nieznajoma stopniowo uświadamiała sobie, że wobec żelaznej woli Nialla prędzej czy później będzie musiała ulec.

On zaś, widząc, że zwycięstwo jest bliskie, nie ruszał się z miejsca, chociaż Euan zawołał do niego z odległości kilkunastu metrów:

- Zostawisz wreszcie tę dziewczynę?! Chciałbym jeszcze przed południem zdążyć do domu!

Psy zaszczekały w odpowiedzi, ale Niall ani drgnął.

Minęła długa chwila. Trudno było nie zauważyć, że wiatr staje się coraz bardziej kąśliwy. W końcu dziewczyna odezwała się:

- No dobrze. Może mnie pan odprowadzić do traktu, ale nie zgodzę się, żeby pan ze mną czekał na dyliżans. Nie ma po temu najmniejszej potrzeby.

Niall odetchnął z ulgą.

- Skoro tak, pospieszmy się, bo śnieg pada coraz gęściej.

Nawet nie spojrzała na spadające z nieba białe płatki.

- Owszem - przytaknęła, po czym dodała z wahaniem:

- Czy byłby pan łaskaw znaleźć mi jakiś kij, żebym mogła się nim podeprzeć, bo niedawno... powiedzmy, że niedawno skreśliłam nogę w kostce i jeszcze mnie trochę pobolewa.

Niall utorował sobie drogę wśród psów i stanąwszy niecałe pół metra od dziupli, pochylił się i skłonił, podając dziewczynie ramię.

- Czuję się zaszczycony, gdyby zechciała pani wesprzeć się na mnie - oświadczył.

Z bliska przyjrzał jej się dokładniej i spostrzegł kilka nowych szczegółów. Nie dość, że jej rzęsy były czarne jak węgiel, to jeszcze usta miały kolor wiśni: zapewne mróz pociągnął je taką barwiczką. Na gładkich policzkach nieznajomej widniał rumieniec, który jeszcze pociemniał, gdy Niall podszedł bliżej. Młodszy z braci Donnegalów zauważył, że dziewczyna próbuje ukryć przed nim nie tylko strach, lecz i nieśmiałość.

- Doprawdy - powiedziała, mocno ściskając w dłoniach rzemyk, którym ściągnięta była sakiewka. - Nie trzeba. Kij w zupełności wystarczy.

Słyszając jej słowa, Collin, ku wielkiej irytacji stryja, natychmiast pobiegł szukać kija. Niall jednak uparcie podsuwał nieznajomej ramię.

- Nie ustąpię - rzekł, patrząc jej prosto w oczy. - Pani...?

Równymi białymi zębami zagryzła dolną wargę. Spuściła wzrok, jak gdyby onieśmiał ją tupet mężczyzny. Przez długą chwilę wpatrywała się w ramię, które jej podsuwał, aż wreszcie wyciągnęła rękę i wsunęła palce w zgięcie jego łokcia.

- Mairi - odpowiedziała na jego niedokończone pytanie, on zaś nie mógł nie zauważyć, że wyjawiała mu tylko imię, jakby rozmyślnie zatajając nazwisko.

W jej źrenicach znów pojawił się cień determinacji, gdy zrobiła krok w stronę Nialla...

I natychmiast straciła przytomność. Przewróciła kobaltowymi oczami i runęła przed siebie, osuwając się prosto w ramiona, które ku niej wyciągnął.

3

-Nie żyje? - zapytał Euan, otrząsnąwszy się z chwilowego oszołomienia.

- Ależ skąd! Oczywiście, że żyje- odparł Niall, klęcząc przy nieznajomej, którą zdążył ułożyć na swoim płaszczu, rzuciwszy go w śnieg. - Tylko zemdląła.

- Z głodu? - ze zgrozą zapytał Collin.

- Nie sądzę - uspokoił go stryj. - Widziałeś przecież jej sakiewkę. To nie żebraczka. Jest całkiem zamożna.

- No to co jej się stało? - dopytywał Euan.

Niall pobieżnie zbadał pacjentkę i szybko ustaliwszy przyczynę omdlenia lekko uniósł rąbek spódnicy. Euan raz tylko rzucił okiem i aż syknął. Jego młodszy brat z powrotem spuścił spódnicę nieznajomej, zanim Collin, zaniepokojony wyrazem twarzy ojca, zdążył cokolwiek zobaczyć.

- Co to było? - z gorączkowym zainteresowaniem spytał chłopiec. - Co jej jest? Co tam widać? Dajcie mi popatrzeć!

- Nic specjalnego - odparł Niall. - Chyba pies ją ugryzł.

Collin z oburzeniem zacisnął zęby.

- Na pewno nie Dolly! - oświadczył. - Ani Barley!

- To nie był żaden z naszych psów - wyjaśnił książe. - Chodź. Wracamy do domu.

Młodsze dzieci, które właśnie wrzucały sobie nawzajem śnieżki za kołnierz, przerwały zabawę i spojrzały na ojca.

- A choinka? - zmartwiła się Una.

- Fergus ją później przyniesie - powiedział Euan, dodając półgłosem: - A ja dopilnuję, żeby prócz siekiery zabrał ze sobą strzelbę.

- To nie mógł być wilk - rzekł Niall ściszym tonem. - Przecież by coś powiedziała...

- Ale skoro nie nasze psy i nie wilk, to co ją w końcu pogryzło? - odparł Euan, podnosząc głos. - Margaret, przestań już z tymi śnieżkami. Idziemy.

- Ja nie chcę! - oświadczył Collin, krzyżując ręce na piersi, jakby bezwiednie naśladował stryja w jego najbardziej nieustępliwym wydaniu. - Wolę zostać z Cyganką!

Niall czym prędzej usunął bratankowi sprzed oczu pokusę, owijając płaszczem nieprzytomną dziewczynę i biorąc ją na ręce.

- Po pierwsze, to nie Cyganka - sprostował. - A po drugie, zabieramy ją ze sobą.

- Naprawdę? - ucieszył się chłopiec. - To znaczy, że będzie się u nas chować?

Jego ojciec jeszcze bardziej się nasrożył.

- Nie, nie będzie - odparł. - Na miłość boską, przecież to nie skaleczona wiewiórka.

Ale pierworodny tak jakby go nie usłyszał.

- I sam ją zaniesiesz aż do domu, stryju? - zapytał. - Mam ci pomóc?

- Poradzę sobie - zapewnił go Niall. - To taka kruszyna...

- Zostanie u nas na Gwiazdkę? - dowiadywał się Collin. - Powiedz, zostanie?

Euan porwał na ręce swoje najmłodsze dziecko, trzylatka Rory'ego, i tak mocno ścisnął dłoń jego nieco tylko starszej siostrzyczki, że dziewczynce łzy stanęły w oczach.

- Na pewno zechce spędzić święta z własną rodziną -

oświadczył. - Zostanie u nas, póki nie wydobrzeje na tyle, żeby nam powiedzieć, gdzie mieszka. A wtedy odwieziemy ją do domu.

- A dlaczego nie może zostać u nas na zawsze?

- Dlatego, że jest czyjaś - wyjaśnił książe. - Tylko na trochę uciekła.

- Skąd wiesz? - wtrącił Niall. Powiedział to ostrzejszym tonem, niż zamierzał, więc szybko zniżył głos. - Wybierała się z wizytą do naszego ojca...

- Ile ty masz lat, Niall? - Euan z dezaprobatą pokręcił głową. - Przecież ona po prostu szła na skróty do traktu pocztowego. Wizytę u ojca zmyśliła na poczekaniu, żeby się wytłumaczyć z tego, że weszła na nasz teren.

- Może zablądziła - litościwie podsunął Collin.

- Piechotę mogła tu przyjść tylko z paru najbliższych domów - rzekł Euan, pomagając Margaret przebrnąć przez wyjątkowo głęboką zaspę.

- Nie proponujesz, mam nadzieję, żebyśmy ją wsadzili na wózek i zaczęli jeździć od drzwi do drzwi, póki ktoś się do niej nie przyzna - odparł oschle Niall.

- Na przykład od starego McCradle'a - ciągnął Euan, jakby brat w ogóle się nie odezwał. - Akurat przyjechała do niego siostra. Może ta dziewczyna to jedna z jego siostrzenic. Albo mogła przyjść od pastora. Podobno odwiedzali go ostatnio krewni z miasta.

- A może od lorda Sutherland? - podpowiedział Collin.

Mimo powagi sytuacji Niall ryknął gromkim śmiechem, a brat po chwili mu zawtórował.

- Nie sądzę - rzekł Euan. -

- Dlaczego? - zdziwił się chłopiec. - Przecież MacLean Hall stoi zaraz za strumieniem. - Zauważywszy karcące spojrzenie ojca, dodał: - Oczywiście nigdy tam nie chodziłem.

- Collin...

- Nigdy nie przeszedłem przez strumień - uściślił chłopiec.
- I nie przechodź - rzekł Euan, marszcząc czoło. - Po tamtej stronie strumienia straszysz.
- Niall spojrział na niego z naganą.
- Euan, co też ty...
- Mówię ci, że straszysz - ciągnął książkę, nie przejmując się niezadowolaniem brata. - A tamtejszym złym duchem jest nieboszczyk stary Sutherland, który wcale nie przepadał za twoim dziadkiem.
- Czemu? - zaciekawił się Collin.
- Uważał, że dziadek nie jest prawdziwym Szkotem, tylko się podszywa, bo tak naprawdę urodził się w Anglii.
- A ja jestem prawdziwym Szkotem? - upewnił się chłopiec.
- Wystarczająco prawdziwym - uspokoił go ojciec.
- No to co mi może zrobić jakiś tam stary duch?
- Nie chodzi o ducha, tylko o jego syna, młodego Sutherlanda. A on żyje, cieszy się dobrym zdrowiem i też nas nie lubi.
- Dlaczego? - wytrwale dowiadywał się Collin.
- Bo taki już jest, że nie lubi nikogo. Pamiętasz, Niall, jak to dawniej ciskał w nas kamieniami, ilekroć podchodziliśmy do strumienia? Bardzo nieprzyjemny chłopak, który wyrósł na bardzo nieprzyjemnego jegomościa. Mam pomysł. - Euan nagle się rozpromienił. - Sakiewka. Może znajdzie się w niej coś, co by nam pomogło ustalić, kim jest ta panna.
- Przeszukali sakiewkę, ale tożsamość dziewczyny pozostała tajemnicą. Przy tej okazji utwierdzili się jednak w przekonaniu, że wbrew domysłom Collina nie jest to bynajmniej żebraczka. Miała przy sobie mnóstwo pieniędzy, staroświecki męski zegarek i...
- To - powiedział Euan, podnosząc w palcach mały pierścionek, wysadzany perłami i brylancikami - jest pierścieniem zaręczynowy.
- Niekoniecznie - rzekł Niall.

- Jego brat wrzucił znalezione z powrotem do aksamitnej sakiewki i zaciągnął rzemyk.
- Mówię ci, że to zaręczynowy pierścionek - upierał się. - To mężatka. Uciekła od męża, a on pewnie już jej szuka i przeczesuje las.
- Naczytałeś się powieści - odrzekł Niall z udawanym spokojem.
- Wiem, jak wygląda pierścionek zaręczynowy - oświadczył książkę, ignorując wzmiankę o powieściach. - A ona właśnie taki ma w sakiewce.
- Czemu nie na palcu?
- Euan milczał chwilę, zbity z tropu, a potem rozpromienił się i rzekł:
- Bo chce go sprzedać.
- Chyba zgłupiałeś.
- A ty całkiem straciłeś rozum, skoro nie chcesz przyjąć do wiadomości oczywistych faktów. Kobieta odeszła od męża, a on zaraz przybiegnie tu ze strzelbą...
- Na miłość boską, Euan...
- Mama - wtrąciła raptem Una z właściwą sobie zwięzłością, odziedziczoną po dziadku, którego nie znała. - Mama będzie wiedziała, co z tym fantem zrobić.
- Niall rzucił bratu triumfalne spojrzenie.
- No właśnie. Świetny pomysł. Zaniesiemy ją do Irmgardy. Dziękuję ci, Uno.
- Nie ma za co - skromnie odparła jego bratanica.
- W tejże chwili dziewczyna, którą niósł na rękach, nagle oprzytomniała. Powieki zadrżały jej, a potem raptem się podniosły, jakby wystraszyło ją coś, co ujrzała oczyma duszy.
- Oj! - krzyknęła, gdy tylko zrozumiała, w jakim znalazła się otoczeniu... i że Niall jest tak blisko. - Co się stało? Gdzie my jesteśmy?
- Proszę się nie bać - z uśmiechem uspokoił ją Collin. -

Pani tylko zemdląca, a my niesiemy panią do nas do domu. Spodoba się pani Donnegal Manor. To wspaniały dwór.

- Donnegal Manor - powtórzyła, i raptem znów poczerwieniły jej policzki. - Donnegal Manor? Przecież ja wcale nie chcę tam trafić. Postawcie mnie na ziemi! Natychmiast mnie postawcie!

Mówiąc „natychmiast”, mocno uderzyła Nialla pięścią w pierś, dowodząc tym samym, że wróciła do formy. Cios ani trochę nie zaniepokoił młodszego z braci, ale księżę wykazał mniejsze niż on opanowanie.

- Słuchaj, Niall - rzekł z troską. - Może lepiej jednak postaw ją na ziemi.

- I co dalej? Sam widzisz, że nie da rady iść o własnych siłach...

- Otóż mogę - przerwała mu dziewczyna. - Poradzę sobie. Mam trochę potłuczoną nogę w kostce, ot co.

- Trochę potłuczoną? - Niall zaśmiał się z niedowierzaniem. - Przecież ta noga wygląda, jakby ją obrabiał niedźwiedź.

- Tylko but - zapewniła go. - Skóra jest nienaruszona.

- Ugryzł panią pies? - zapytał Niall. - Bo chyba nie wilk...

- Nie, pies. Złapał mnie za stopę i nie puszczał. Potknęłam się, ale on wciąż nie chciał puścić, no i ostatecznie skrzyłam nogę w kostce.

- O mało pani nie zjadł tego buta - z wyczuwalnym podziwem rzekł Collin, któremu udało się wreszcie zobaczyć omawiany but.

- Jestem pewna, że to tylko tak strasznie wygląda. Doprawdy, łaskawy panie, nic mi nie dolega. Gdyby zechciał mnie pan po prostu postawić na ziemi...

- Nie - zwięźle odpowiedział Niall.

- Hmm... - wtrącił Euan. - Wiesz, wydaje mi się, że pani nie jest zachwycona...

- Co zatem proponujesz? - przerwał mu młodszemu brat. - Mam ją tu zostawić, żeby zamarzyła na śmierć?

- Mam tylko lekko otartą skórę - powiedziała dziewczyna, szcękając zaciśniętymi z determinacją zębami.

- I właśnie dlatego pani zemdląca? - spytał Niall. - Dlatego, że ma pani lekko otartą nogę w kostce? Nic z tego. Albo nam pani poda swój adres, a my panią odstawimy do domu, albo będzie pani musiała się pogodzić z tym, że zaniósę ją do Donnegal Manor. Sprawa nie podlega dyskusji - zakończył, mocniej obejmując jej drobne ciało.

Była tak zaszokowana, jakby ją spoliczkował.

- Ale ja nie mogę dać się zanieść do Donnegal Manor - odparła.

- Niby dlaczego? Przecież właśnie tam pani się wybierała, prawda? Z wizytą do naszego ojca.

- Owszem, ale... - Niall aż zadrżał, kiedy zobaczył, że na koniuszkach jej gęstych, czarnych rzęs znowu zalśniły łzy. - To było, zanim...

- Zanim co? - spytał młodszemu z Donnegalów.

- Zanim się dowiedziałam o jego śmierci - dokończyła załóżniczym głosem. - Och, proszę mnie puścić. Nie wie pan, co pan robi.

- Właśnie, że wie - zaprotestował Collin. - Jest przecież łapiduchem. Dyplomowanym i w ogóle.

- Lekarzem - poprawił go Niall, po czym zwrócił się do dziewczyny:

- Mam dyplom lekarza.

- Niepotrzebny mi lekarz - odrzekła. Spojrzała na Euana, po którym widocznie spodziewała się większego rozsądku, i poprosiła: - Niechże pan mi każe mnie puścić!

- Hmm... - mruknął Euan w sposób bynajmniej niearystokratyczny. - Jesteś pewien, że dobrze robisz? Ta pani wyraźnie nie chce...

- Zabieramy ją ze sobą - odparł Niall przez zaciśnięte zęby. - I ani słowa więcej.

Widząc, że nieznajoma ma zdruzgotaną minę, księżę raz jeszcze spróbował przemówić bratu do rozumu.

- Ale... - zaczął, lecz zaraz umilkł, onieśmielony groźnym spojrzeniem, które rzucił mu Niall.

I na tym sprawa się skończyła - przynajmniej między księciem a jego bratem. Bo dla Nialla i dziewczyny był to dopiero początek dłuższej historii.

4

Przedstawiła się Niallowi jako Mairi, on jednak nie bardzo potrafił mówić jej po imieniu, a w dodatku podejrzewał, że nie jest ono prawdziwe. Teraz zaś stwierdził, iż ma do czynienia z osobą, która doskonale umie przedstawić swój punkt widzenia. Robiła to przez całą drogę do dworu, dobitnie i przekonująco: cytowała traktat Platona o cnocie, utrzymywała, że Niall postępuje nader ryzykownie, gdy bowiem ignoruje jej życzenia, grozi to zepchnięciem całego wszechświata w chaos. Twierdziła, że zgon starego księcia powinien stać się dla wszystkich przestrożą, iż zakłócenie kosmicznej harmonii może doprowadzić do katastrofy, chociaż młodszy z braci Donnegalów doprawdy nie widział związku między śmiercią ojca, który zmarł na podagrę, a swoją chęcią uchronienia nieznajomej przed odmrozeniami.

Choć jej przemowa miała w sobie wiele dramatyzmu, a przy tym była - co zresztą przyznał otwarcie, kiedy mówczyni w końcu zamilkła - ogromnie zajmująca, to mimo wszystkich tych zalet ani trochę nie zachwiała jego przeświadczeniem, że obrał najlepsze wyjście z sytuacji.

Gdy Mairi pojęła wreszcie, że go nie przekona, zaniechała

wszelkiej argumentacji i już tylko milczała z zagniewaną miną - która, prawdę rzekłszy, jedynie dodawała jej uroku.

Natomiast Collina jej złowrogie przestrogi i wzmianki o śmierci dziadka utwierdziły w przekonaniu o cygańskim rodowodzie panny, którą stryj trzymał w ramionach. A więc wbrew twierdzeniu dorosłych była to prawdziwa żywa Cyganka! Schwytali ją w samą porę, akurat przed Gwiazdką, i będzie mogła teraz wywróżyć im przyszłość! Pragnąc rozproszyć obawy dziewczyny przed jej własną niedaleką przyszłością, chłopiec powiedział uspokajającym tonem:

- Spodoba się pani w naszym domu. Gwiazdka zawsze jest u nas bardzo fajna. Są pończochy z prezentami, pomarańcze i tańce. U was w cygańskim taborze na pewno się tak nie bawicie - ciągnął, brnąc przez śnieg, - Mama już dopilnuje, żeby pani się porządnie najadła, więc nie będzie pani musiała żebrać... przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Po tej ostatniej uwadze na policzkach rzekomej Cyganki zakwitł żywy rumieniec, którego Niall nie mógł nie zauważyć, bo dziewczyna mocno trzymała go za szyję; jak gdyby w obawie, że w przeciwnym razie ją upuści, jej twarz znajdowała się więc tuż przy jego twarzy.

- Nie jestem Cyganką - oświadczyła z naciskiem.

Collin niczym nie dał po sobie poznać, że usłyszał jej słowa, chociaż w lesie panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie delikatnym szumem śniegu, który prószył z nieba, i chrzęstem butów po białym dywanie.

- Kiedy przychodzi Gwiazdka - ciągnął - najważniejsze jest to, żeby się dzielić. Mama mówi, że nawet jak ktoś sam nie ma za wiele, w Boże Narodzenie powinien się podzielić z innymi. W zeszłe święta wcale nam się tak znowu nie przelewało, bo tata nie był jeszcze księciem. Ale podzieliliśmy się tym, cośmy wtedy mieli. A teraz z taty zrobił się książę i jesteśmy bogaci. Więc niech się pani nie boi, że nie starczy

dla wszystkich. Wszystkiego mamy w bród i chętnie się dzielimy.

Una, która przysłuchiwała się temu monologowi, dorzuciła swoje:

- Zwłaszcza mama lubi się dzielić - powiedziała. - Może nawet pozwoli pani pochodzić w swojej koronie. No bo jako prawdziwa księżna ma przecież koronę.

Niall nie zdołał powściągnąć uśmiechu, słuchając prostodusznych wywodów bratanicy. Zerknął na Mairi, żeby sprawdzić, jakie wrażenie robią na niej te rewelacje, i z ulgą stwierdził, że widoczny dotychczas na jej twarzy wyraz buntu ustąpił miejsca zadumie.

- Będę panu bardzo wdzięczna - rzekła, zwracając się nie do dzieci, lecz do Nialla - jeśli zechce mi pan obwiązać nogę w kostce.

Wobec tej nieoczekiwanej kapitulacji Niall jakby stracił mowę, szedł więc dalej w milczeniu. W pewnej chwili zauważył w oddali niewyraźny zarys górnych pięt dworu.

- Ale potem naprawdę będę musiała ruszyć dalej - dodała dziewczyna. - Niech mi pan wierzy, jest sprawą najwyższej wagi, żebym jeszcze dziś opuściła Kilcairn.

Euan szedł ramię w ramię z bratem. Na jednej ręce niósł siąkającą nosem Margaret, a w drugiej trzymał rączkę Rory'ego, choć chłopiec wił się i próbował wyrwać. Słyszając, co powiedziała dziewczyna, księżę Donnegal odchrząknął i wtrącił swoje trzy grosze:

- W najbliższym czasie nigdzie pani nie pojedzie, przynajmniej póki nie minie ta zadymka - powiedział, znacząco spoglądając w niebo, z którego w huraganowym tempie sypały się gęste kłęby białych płatków. - Dylizans na pewno nie da rady przedrzeć się przez takie zasy. Nie ma szans dojechać wcześniej niż jutro, a i to wątpliwe, jeśli pogoda się nie zmieni.

Srodze zmartwiona tym komunikatem, dziewczyna gotowa

była palnąć kolejny wykład z filozofii platońskiej. Na szczęście Niall zdołał odwrócić jej uwagę, mówiąc:

- Proszę spojrzeć. Już widać nasz dom.

Donnegal Manor nigdy jeszcze nie wyglądał tak gościnnie. W każdym oknie płonęła świeca - tak bowiem nakazywał jeden z wielu świątecznych edyktów nowej księżnej - a cały dom sprawiał takie wrażenie, jakby unosił się we mgle. Żłociste płomyki dzielnie walczyły z zimowym mrokiem, który w przeciwnym razie pochłonąłby cały bezbarwny krajobraz.

Gdy przestąpili próg, znaleźli się w holu, który sprawiał równie gościnne wrażenie, jak przedtem dwór widziany od zewnątrz, trwały w nim bowiem przygotowania do balu dla dzierżawców. Irmgardę, oczywiście, zdziwił nieoczekiwany bagaż, który przydźwigał Niall, przyjęła jednak tę niespodziankę z podziwu godnym opanowaniem. Spokojnie wydała polecenie, żeby przed ogromnym kominkiem w holu postawiono kanapę, po czym sama stanęła obok niej i gdy szwagier rozwiązywał sznurowadło nieznajomej, trzymała ją za rękę.

- W ogóle nie powinna pani była chodzić po tym wypadku - powiedział Niall, kiedy już zdjął z nogi dziewczyny szcztaki buta. Po dokładnych oględzinach okazało się, że skóra rzeczywiście jest nienaruszona, a jedyny problem to zwichnięcie w kostce.

- Nie wiedziałam, że to aż taka poważna kontuzja - odparła, krzywiąc usta, gdy delikatnie obracał jej stopę. - Kiedy wstałam po pierwszym upadku, przeszłam kawałek i wydawało się, że właściwie nic mi nie jest...

- Ale potem tak rozboleło, że już dalej iść pani nie mogła - domyślił się Niall. - Więc schowała się pani w dziupli z nadzieją, że wystarczy chwila odpoczynku i ból przejdzie. Ale to tylko pogorszyło sprawę, bo noga spuchła w bucie. A kiedy potem spróbowała pani znowu na niej stąpać...

- Zemdlałam - dokończyła, posępnie wpatrując się we

własne boscie palce, wystające spod sutych falbanek wełnianej spódnicy podróżnej. - Obawiam się, że przez jakiś czas nie będę mogła nawet stanąć na tej nodze.

- Ma pani mocno zwichniętą kostkę - surowym tonem oznajmił jej Niall. - But uchronił ciało przed psimi zębami, ale noga jest mocno posiniaczona...

- Czy jest pani absolutnie pewna, moja droga, że to nie był wilk? - z niepokojem wtrąciła Irmgarda.

Dziewczyna zwróciła na księżnę spojrzenie kobaltowych oczu i powiedziała:

- Jestem pewna, że to był pies.

- Takiego psa należałoby zastrzelić - oświadczył Niall. - Nie mam pojęcia, kto trzyma taką wściekłą bestię, ale kiedy się dowiem, ręczę, że dopilnuję, żeby ją zgładzono.

- Och, dałam mu nauczki, która powinna wystarczyć - odparła dziewczyna. - Mocno kopnęłam go w łeb. Biedak uciekł ze skowytami i więcej się nie pokazał.

- No i całe szczęście - stwierdziła Irmgarda. Z tacy, którą właśnie przyniosła służąca, wzięła filiżankę i podała ją dziewczynie. - Proszę to wypić, moja droga - rzekła. - Musi się pani rozgrzać. Pani pończochy i buty położyłam przy ogniu, żeby wyschły, bo były całkiem przemoknięte.

Dziewczyna wzięła filiżankę, uprzejmie dziękując, ale Niall zauważył, że drżą jej palce, i to chyba raczej nie z zimna. Strach, ten tajemniczy strach, który przedtem zauważył w jej oczach, wciąż był w nich obecny, tyle że chwilowo może trochę przytłumiony.

Ale czy po tym, co przeżyła, nie miała prawa być przerażona? Znaleźli ją przecież w okolicznościach, w których każda inna dostałaby napadu hysterii. Lecz ona straciła panowanie nad sobą tylko wtedy, gdy ocknąwszy się z omdlenia, stwierdziła, że spoczywa w ramionach obcego mężczyzny, który w dodatku oświadczył, że zamierza ją zanieść do Donnegal Manor.

Niall chętnie nauczyłby się od niej, jak zachowywać taką zimną krew, bo szczerze mówiąc, on także był mocno niespokojny.

Miał po temu kilka powodów. Jednym z nich było twierdzenie Euana, że dziewczyna jest zbiegłą narzeczoną. Utkwiło Niallowi w pamięci i raz po raz natrętnie powracało. Lecz najbardziej burzyło mu spokój to, że odsłonięta kostka nogi, którą miał przed sobą, była zdecydowanie najpiękniejsza, jaką w życiu widział.

No, może niezupełnie, ponieważ w odległości kilkunastu centymetrów leżała podobna do niej, tyle że nie spuchnięta ani nie posiniaczona. Lecz nawet ta poturbowana wyglądała prześlicznie i to także Nialla niepokoiło.

Musiał bowiem przestrzegać pewnych profesjonalnych zasad postępowania. A cóż to za profesjonalista, który wgapia się w stopy pacjentki? Postanowił więc skupić całą uwagę na przygotowaniu łupków, w które jedną z owych stóp należało ująć.

Niełatwe jednak miał zadanie, bo serce łomotało mu tak głośno, że słycać je było chyba w całym holu. Czemu tak pociągała go ta dziewczyna, którą zaledwie zdążył poznać? Co gorsza, nie był nawet pewien, czy podała mu swoje prawdziwe imię, miał zaś powody sądzić, że znalazła się w srogich tarapatach. A przecież w jego życiu nie było miejsca na takie bzdury!

Ale cóż miał począć, skoro Mairi, która w tak tajemniczy sposób zjawiała się w majątku jego brata, pociągała go silniej niż jakakolwiek spotkana dotychczas kobieta? W miarę upływu godzin pociąg ten bynajmniej nie słabł, choć ilekroć dziewczyna otwierała usta, padały z nich naprawdę bardzo dziwne kwestie...

A może właśnie dlatego wydawała mu się tak pociągająca? Może właśnie dlatego, że była inna niż wszystkie dziewczęta, które dotąd poznał? W jej osobie widział młodą pannę, absolutnie niezdolną do wypowiedzenia choć jednego z tych

banalów, które tak już zdążyły go znudzić; młodą kobietę, której udział w konwersacji nie sprowadza się do mówienia „tak” lub „nie”, urozmaicanego wzdychaniem. Prędzej któraś spośród jego wcześniejszych znajomych wyrecytowałaby z pamięci dzieła wszystkie Parmenidesa, niż ona zaczęłaby się wysławiać w ten sposób.

Właśnie nakładał jej łupki na chorą nogę, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem.

Jego pacjentka z cichym okrzykiem odwróciła głowę akurat w porę, żeby ujrzeć ogromnego mężczyznę, który wszedł do holu prosto z zamieci, biały od stóp do głów, głośno tupiąc nogami. Śnieg kłębił się wokół niego, jakby przybysz stał w samym oku cyklonu. Dopiero po chwili dało się zauważyć równie jak on zaśnieżoną jodłę, którą przywłókł. Na ten widok dzieci, bawiące się w chowanego pod stołami, z radosnym piskiem rzuciły się w jego stronę.

- O Boże! - powiedziała dziewczyna, odzyskując panowanie nad sobą. - Któż to taki?

- To tylko Fergus - wyjaśnił Niall, przyglądając jej się z uwagą. - Przyniósł choinkę.

Nie, wzrok go nie mylił: rzeczywiście odetchnęła z ulgą. Lecz natychmiast znów cała się spięła.

- Fergus - powtórzyła, patrząc, jak leśniczy wraz z księciem i kilkoma sługami ustawia jodłę. Przykryła dłonią pierś, jak gdyby chciała uspokoić łomoczące serce.

- A kogo pani oczekiwała? - spytał Niall, bo jej zachowanie wskazywało na to, że spodziewała się ujrzeć w drzwiach kogoś innego.

- Ależ nikogo. Bo i kogóż mogłabym oczekiwać?

- Skąd mam wiedzieć? Nie wiem przecież nawet, jak się pani nazywa.

- Owszem, wie pan - odrzekła jakby z urazą. - Przecież panu powiedziałam. Na imię mi Mairi.

- A dalej?
 - Wystarczy Mairi - powiedziała z uśmiechem, nie odrywając wzroku od Fergusa, który dalej mocował się z choinką. - Jestem pewna, że nigdy dotąd w tym domu nie świętowano Gwiazdki - dodała.

Niall z niechętną miną przytaknął, choć nie mógł nie zauważyć, że zreżymnie zmieniła temat.

Z jego tonu musiała widocznie odgadnąć, co myśli o takim świętowaniu, bo spytała:

- Nie lubi pan Gwiazdki?

Z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

- Jest taka... niepoważna - odparł.

Wybuchnęła głośnym śmiechem - po raz pierwszy, odkąd ją zobaczył. Aż się wzdrygnął, słysząc ten nieoczekiwany dźwięk, a po kręgosłupie przebiegł mu jakiś dziwny dreszcz. Wyglądało na to, że to dopiero początek jego zmartwień.

- Och, gdyby pan wiedział, ile w pańskim tonie było z ojca! - powiedziała z uśmiechem.

Niall zmarszczył brwi. Absolutnie sobie nie życzył, żeby kojarzono go z ojcem.

- Ojciec też pani mówił, że choinka jest niepoważna? - zapytał z ponurą miną.

- Ależ tak, oczywiście. Ale mogę pana zapewnić, jak i zresztą pańskiego ojca zapewniałam, że tradycja choinki ma nader poważne korzenie.

Niall zamrugał. Irmgarda poszła tymczasem dyrygować nakrywaniem do stołów, które już za kilka godzin miały się uginać pod ciężarem potraw. Wbrew oczekiwaniom szwagra, nie wydawała się zbyt przejęta tym, że gości pod swoim dachem osobę, która być może przed kimś lub przed czymś ucieka. Poradziła mu nawet, żeby tak się nie przejmował, bo dziewczyna sprawa dość rozsądne wrażenie.

Ale jak miał się nie przejmować, skoro jego pacjentka

potrafiła ni stąd, ni zowąd oznajmić, że „tradycja choinki ma nader poważne korzenie”?

- Ta na przykład jodła - ciągnęła - jest podobnie jak koniczyna symbolem Świętej Trójcy... oczywiście postawionej na głowie. Świeczki, którymi pańska bratowa zapewne przyozdobi gałęzie, symbolizują gwiazdy w niebiosach, takie same jak te, w które podczas pewnej nocnej przechadzki wpatrywał się Marcin Luter. Kiedy powiedziałam to pańskiemu ojcu, upierał się, że to wszystko papistowskie brednie. Ale pan, bądź co bądź naukowiec, chyba nie przyzna mu racji?

- A kiedy właściwie poznała pani mojego ojca? - spytał zniechęcony, mając nadzieję, że dziewczyna przestała tymczasem mieć się na baczności i wreszcie wyjawí mu, kim naprawdę jest.

- Och, wiele lat temu - odparła. - Pamiętam, że spytał, dlaczego nie bawię się w pokoju dzieciennym, a ja mu na to odpowiedziałam, że już wyrosłam z takich zabaw i niedługo jadę do szkół. Tak się rozjuszył, jakbym powiedziała, że jadę sprzedawać pomarańcze i przez resztę życia mam zamiar utrzymywać się właśnie z handlu tymi owocami. Zaczął wrzeszczeć, że równie dobrze można by rzucać pieniądze do studni, zamiast je marnować na kształcenie dziewczynek. A potem... - Urwała nagle i rzuciła Niallowi ostre spojrzenie. - Próbuje mnie pan pociągnąć za język - rzekła z oburzeniem.

- No i prawie mi się udało - odparł z uśmiechem, którego nie zdołał powściągnąć.

Ku jego zdumieniu, uśmiech ten ją zmieszał. Spojrzała w ogień, lecz chyba nie od jego żaru pociemniały jej policzki.

- Zechce pani mi wybaczyć - rzekł Niall. - Zachowałem się niegodnie.

Kiedy znów na niego popatrzyła, zobaczył w jej niebiańskich oczach nienaturalny blask.

- Nie rozumie pan? - spytała stłumionym tonem. - Nie śmiem panu powiedzieć prawdy. Wiem, że ma pan dobre chęci,

ale w niczym nie może mi pan pomóc. I naprawdę byłoby lepiej, gdyby pan odszedł.

- Ale dokąd? - spytał, ze zdziwienia unosząc brwi. - Przecież ja tu mieszkam.

- Byłoby lepiej, gdyby pan odszedł ode mnie - wyjaśniła, jeszcze bardziej zniżając głos.

- Od pani? - Pokręcił głową. - Ale dlaczego?

Mało brakowało, a byłaby mu wyznała. Widział to po jej minie. Ważyła w myślach słowa, starannie formułując odpowiedź. Gdy ściągnęła brwi, równie czarne jak rzęsy, pośrodku jej czoła pojawiła się wąziuteńka zmarszczka. Nie wiedząc, czego się spodziewać, Niall pochylił się naprzód. Poczuł, że wewnątrz dłoni ma wilgotne - i to wcale nie od żaru ognia, który tuż obok buzował w kominku - wtem jednak Irmgarda zawołała go władczym tonem:

- Niall, pozwól tu, dobrze?!

W jej głosie słychać było irytację, która wydała mu się najzupełniej zrozumiała, gdy tylko spojrzał w stronę bratowej. Ujrzał bowiem, że Euan, Fergus i kilku służących borykają się z ogromną jodłą, lecz z tych ich usiłowań jak dotąd niewiele wynika.

- Już idę - odparł, po czym zwrócił się w stronę swojej pacjentki... i natychmiast pojął, że zdążyła przez ten czas się rozmyślić i niczego już mu nie wyzna.

- Lepiej niech pan idzie - rzekła uprzejmie.

Rozpaczliwie usiłując wskrzesić poufałość, która -jak mniemał - na chwilę ich połączyła, odparł z wymuszoną żartobliwością:

- Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale mój ojciec kształceniu chłopców też był przeciwny. Żywił najgłębszą pogardę wobec wszelkiej edukacji, bez względu na płeć ucznia.

Kiwnęła głową potakująco.

- Wiem - odrzekła. - Często się o to spieraliśmy. Pański

ojciec wielu rzeczom był przeciwny. A już na pewno nie pochwalałby tej całej bieganiny.

Skinieniem głowy wskazała Irmgardę, która klaszcząc w ręce, wołała, że choinka ma stać w kącie przy oknie, a nie obok kredensu. Niestety, akurat w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć, jak jest po angielsku „kredens”, toteż mężczyźni -a wśród nich jej mąż - włączyli jodłę po całym holu.

- Rzeczywiście - zgodził się Niall. - Gdyby jeszcze żył, pewnie by go zabił ten widok.

Nie była to jednak rozważna odpowiedź, bo dziewczyna znowu pobladła i zapadła w niczym niewytłumaczalne milczenie.

- Niall! - zawołał Euan.

Jego młodszy brat pospieszył z pomocą, przedtem jednak zdążył przekląć w duchu własną głupotę.

5

Mairi nie zabiła Henry'ego Donnegala.

Powiedziała to sobie z wielką stanowczością. Nie zabiła go i nie ponosiła żadnej odpowiedzialności za jego śmierć. Bo też czemu miałyby za nią być odpowiedzialna? Zgon księcia - choć w istocie było to zdarzenie, najłagodniej mówiąc, niefortunne - nie pozostawał w żadnym związku z jej osobą.

Cały ten pomysł z rzekomą klątwą był po prostu śmieszny. Nie istniało nic takiego jak klątwa. To przecież jasne.

Idiotyczny zabobon, i tyle. Teraz już to wiedziała. Była dorosłą wykształconą kobietą, a nie małym dzieckiem, nad którym można sprawować władzę, opowiadając mu banialuki o wrózkach i klątwach. Nie jej wina, że książę zmarł. W żadnym razie nie jej wina.

Tak sobie przynajmniej mówiła.

Mówić było nawet dosyć łatwo, ale naprawdę w to uwierzyć - nieco trudniej.

Mimo wszystko jednak próbowała. Nie chcąc myśleć w kółko o tym samym, rozejrzała się po przestronnym holu, zdumiona, że od jej ostatniej wizyty zaszły w nim takie zmiany. Nigdy w życiu nie widziała, żeby w czymkolwiek domu panował

taki chaos jak u nowego księcia Camden. Póki żył Henry Donnegal, wszystko było pod znacznie ściślejszą kontrolą.

Co prawda Mairi zaledwie parę razy gościła w Donnegal Manor - tylko wtedy, kiedy jej prawny opiekun wyjeżdżał, a ona była pewna, że wiadomość o tych wizytach nie dotrze do jego uszu. Stary książę u schyłku życia rozmiłował się w wędkarstwie, często więc widywano, jak stoi po pas w potoku, oddzielającym jego posiadłość od majątku opiekuna Mairi. Dziewczyna spotykała jego książęcą mość w czasie porannych przechadzek, ilekroć latem przyjeżdżała do domu na wakacje. Ale minęło już wiele lat, odkąd ostatnio bawiła w Donnegal Manor... tyle lat, że wątpiła, czy ktokolwiek z domowników by ją rozpoznał. Nawet Alistair, jej opiekun, twierdził, że paskudnie wyrosła przez ten czas, kiedy się nie widzieli...

Teraz zaś niewątpliwie doszedł do wniosku, że nie tylko paskudnie wyrosła, ale też zrobiła się paskudnie samowolna.

I tak zresztą w Donnegal Manor górowali nad nią wzrostem wszyscy prócz najmniejszych dzieci. Nawet księżna wydawała się wyższa od niej o dobrych kilka centymetrów, po części zapewne dzięki temu, że lniane włosy miała zaplecione w koronę. Mairi stwierdziła w duchu, że trafiła do jaskini olbrzymów.

I to w dodatku strasznie hałaśliwych.

Tym lepiej, że tak hałasują - pomyślała. W całym tym zamieszaniu i zgiełku łatwiej uda jej się niepostrzeżenie wymknąć.

Musiała bowiem uciec. Nie było mowy, żeby została. Donnegal Manor stał o wiele za blisko MacLean Hall, żeby mogła czuć się tu bezpiecznie.

Należało też wziąć pod uwagę tego nowego księcia i jego ładną żonę, której pochodzenie - zapewne niemieckie, jak domyślała się Mairi - wyjaśniało, czemu w ogromnym holu dokonała się aż taka przemiana. Kiedy Mairi gościła w nim po raz ostatni, pełen był jelenich łbów i splewiałych kobierców.

Z krokwi pod sufitem, czyli z wysokości prawie siedmiu metrów, zwisały wystrzępione chorągwie ze znakami herbowymi.

Teraz jednak nie pozostał żaden ślad po kobiercach i jelenich łbach. Zamiast nich służące właśnie rozwieszały gałązki choinek i ostrokrzewu. Mężczyźni wspinali się na drabiny, żeby pozdejmować wystrzępione chorągwie i udrapować krokwie kawałkami czerwonego aksamitu. Mairi nigdy w życiu nie widziała bardziej wystawnie urządzonego pomieszczenia. W gruncie rzeczy nie była jednak zdziwiona, bo wiedziała, że Niemcy uwielbiają hucznie świętować Boże Narodzenie.

Z jednej strony rozum podpowiadał jej, że cała historia z kłatwą to jakieś fantastyczne urojenie, z drugiej zaś bała się, czy aby książę Euan, jego żona, która tak lubi Gwiazdkę, oraz ich płowowłose dzieci nie pójdą śladem zmarłego księcia -i to z jej winy, z winy Mairi.

A jego brat... ten jego uparty, przystojny brat. Nie zniosłaby, gdyby i on...

- Pani Cyganko...

Raptownie wyrwana z tych mrocznych rozważań, obróciła się i ujrzała przed sobą najstarszego z chłopców, który - jak już wiedziała - nosił tytuł wicehrabiego.

- Czy smakują pani kartofle? - uprzejmie spytał Collin.

Spojrzała w talerz, który trzymała na kolanach. Księżna nieco wcześniej przeprosiła ją, że podwieczorek będzie dość lekki, bo kucharka zajęta jest przyrządzaniem smakołyków na świąteczną kolację. Jej książęca mość miała nadzieję, że Mairi nie pogardzi pieczenią wołową, zapiekanymi na sposób niemiecki kartoflami w sosie, puddingiem, marchwią w galarecie, śledziem w śmietanie i pieczonymi ostrygami, a potem zechce to wszystko popić maderą.

Mairi wzdygnęła się na myśl, z czego u księstwa Camden może się składać ciężki podwieczorek, skoro ten dzisiejszy jest w ich pojęciu „lekki”!

- Kartofle są, owszem, bardzo smaczne - odparła. - Ale wolałabym, żebyś nie nazywał mnie Cyganką.

- A jak mam mówić? Może „pani wróżko”? - z nadzieją spytał chłopiec. - Bo Sileas mówi, że pani wygląda całkiem jak wróżka.

Mairi ściągnęła brwi.

- Kto to jest Sileas?

- Piastunka Rory'ego. Tam, koło choinki.

Mairi spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła młodą wieśniaczkę o różanych policzkach, od której młodszy braciszek Collina właśnie dostawał straszną burę za jakieś przewinienie.

- Ja już nie potrzebuję piastunki - z dumą oświadczył wicehrabia. - No to jak? Jest pani czy nie jest?

Mairi nie od razu zrozumiała, o co chłopcu chodzi.

- Kim mianowicie jestem czy nie jestem? - zapytała.

- Wróżką. Bo widzi pani, jak powiem chłopakom, że na Gwiazdkę przysłała do nas prawdziwa wróżka, to mi będą strasznie zazdrościli. Więc proszę powiedzieć, że jest pani wróżką. Bardzo proszę!

Mairi ciężko westchnęła, z żalem spoglądając na swoją stopę, która ujęta była w łupki i leżała podparta stertą futer, ułożonych na końcu kanapy. Czy była wróżką? Raczej nie. Nawet gdyby wróżki rzeczywiście istniały, chyba nie mogłaby siebie zaliczyć do ich grona. Bo i cóż by to była za wróżka, którą złowrogi opiekun próbowałby zmusić do małżeństwa? A jeśli nawet jakąś wróżkę spotkałby taki los, to uciekając przed nim, na pewno nie upadłaby i nie zwicznęła nogi.

Oczywiście ściągnęła na siebie wszystkie te nieszczęścia. Cóż to był za głupi pomysł, żeby uciekać przed Borysem! Było do przewidzenia, że pies uzna to za zaproszenie do zabawy. Powinna też była przewidzieć, że Alistair wyśle w pościg za nią psy, jak za lisem albo jeleniem, którego trzeba osaczyć. Ale liczyła na to, że uda jej się odjechać spory kawał od Kilcairn, zanim dotrze do niego wiadomość ojej ucieczce...

Przeliczyła się, bo nie wzięła pod uwagę śnieżycy. Ruszyła w stronę traktu najkrótszą drogą, prowadzącą przez posiadłość księcia Camden, lecz tam akurat śnieg leżał najgrubszą warstwą, spiętrzony w głębokich zaspach.

I wśród tych to właśnie zasp dopadł ją Borys. Znała go od szczeniaka, a on zawsze umiał ją odnaleźć - głównie dlatego, że ilekroć przyjeżdżała do domu na wakacje, zwykle nosiła w kieszeni jakieś smakołyki dla niego i dla reszty psów.

Alistair doskonale o tym wiedział. Natychmiast więc zrozumiała, że skoro pies ją doścignął, jego pan musi być tuż-tuż. Odwróciła się zatem i uciekła...

Całe szczęście, że Alistairoo został jednak nieco w tyle za Borysem. Nie umiała sobie wyobrazić, jakim cudem to się stało, bo jej opiekun był ogromnie i zasłużenie dumny ze swoich umiejętności łowieckich. Pewnie śnieg go zatrzymał. Może koń się potknął pod nim i upadł... może przy tej okazji nawet przygniółł jeźdźca. Sama jednak wiedziała, że chyba za wiele żąda, wyrażając w duchu to ostatnie życzenie.

W końcu zdołała jakoś przekonać psa, że tym razem nie ma dla niego żadnych łakoci, i kazała mu wracać do domu, po czym dowlokła się do dębu i schroniła w dziupli. Wciąż jednak czepiała się nadziei, że nie wszystko jest jeszcze stracone. Od pocztowego traktu dzieliła ją jedynie łąka, na której latem pasły się konie księcia Camden. Nie była to wcale taka znów wielka odległość. Mairi nie wątpiła, że sobie poradzi, jeśli tylko będzie szła dostatecznie wolno...

Nie liczyła się jednak z tym, że niedoinformowani - choć oczywiście pełni najlepszych chęci - synowie księcia spotkają ją po drodze i zgarną jak zbłąkane kocię. Była im wdzięczna za okazaną dobroć - zwłaszcza młodszemu, czyli lordowi Niallowi - ale tak czy owak musiała uciekać z ich dworu, im szybciej, tym lepiej.

Jak pilną sprawą jest w tej sytuacji ucieczka, zrozumiała

zaledwie kilka sekund później, kiedy leśniczy imieniem Fergus podszedł do kanapy, na której leżała, i skłonił się nisko, ściskając oburącz czapkę.

- Jaśnie panienka? - ni to spytał, ni to stwierdził.

Zanim zdołała udać, że to jakieś nieporozumienie, pobrużdżoną twarz starca złagodził uśmiech. Uprzejmym gestem ciągnąc się za grzywkę, równie rudą jak włosy Mairi, leśniczy powiedział;

- A więc to panna Mairi. Tak też mi się zdawało, alem nie wierzył własnym oczom, tak jaśnie panienka, za przeproszenie, wyrosła, odkąd żem ją ostatnio widział.

Z niepokojem rozejrzała się po komnacie, ale panował w niej taki harmider, że nikt raczej nie mógł usłyszeć, co powiedział leśniczy. Nikt prócz wicehrabiego, lecz nawet i on zrobił tylko zdziwioną minę i spytał:

- To pan zna panią wróżkę, panie Fergus?

- Panią wróżkę? - zdziwił się starzec. - Nie powinien panicz tak mówić na jaśnie panienkę. Przecież to...

- Chyba zaszła jakaś pomyłka, panie Fergus - szybko wtrąciła Mairi.

On jednak zdążył nieco przygluchnąć, odkąd go ostatnio widziała, więc mówił dalej:

- Pamiętam, jak panienka uwielbiała to wrzosowisko nad strumieniem po stronie Donnegalów. Wiosną co i rusz tam przesiadywała, chociaż jaśnie panu Alistairowi wcale się nie podobało, że tak daleko panienka odchodzi od domu...

- Panie Fergus - pospiesznie przerwała mu Mairi, a gdy umilkł i spojrział na nią, dała mu znak, żeby się zbliżył. Kiedy pochylił się nad nią, szepnęła mu do ucha: - Oczywiście, że pana pamiętam, i bardzo miło mi pana widzieć, chociaż głęboko zasmuciła mnie wiadomość o śmierci księcia. Ale czy mogę prosić, żeby pan chwilowo zachował naszą znajomość w tajemnicy. Bo widzi pan, moi dzisiejsi dobroczyńcy mnie nie znają,

a ja wolałabym, żeby jeszcze przez jakiś czas nie wiedzieli, kim jestem.

- Ach! - westchnął Fergus. - No pewnie. Jego lordowska mość wcale by się nie ucieszył, jak by się dowiedział, że panienska tu jest. Co to, to nie. Nigdy nie było dumniejszego Szkota niż on. Nie zapomnę, jak go ostatnim razem widziałem. Było to dwa lata temu. Jaśnie pan Alistair kupił konia od starego pana McCardle'a i dopiero w domu zauważył, że konisko kuleje. Odprowadził biedną szkapę na sam próg pana McCardle'a i strzelił jej prosto między...

- Och, proszę już nic więcej nie mówić! - mimo woli wykrzyknęła Mairi. Koń ten miał być bowiem prezentem dla niej, a gdy teraz dowiedziała się, jak Alistair z nim postąpił, kiedy odkrył, że zwierzę kuleje, ogarnęło ją przerażenie. Co gorsza, po raz kolejny stwierdziła, że ciężąca nad nią klątwa jednak działa.

Choć okrzyk, który jej się wyrwał, nie był zbyt głośny, zwrócił jednak uwagę młodszego brata księcia. Niall natychmiast podszedł do niej z pytającą miną.

Znowu on? Och, tylko nie to! - jęknęła w duchu.

Ale co też miał w sobie takiego lord Niall, że na jego widok odruchowo poprawiała włosy? - Była pewna, że są strasznie potargane, i żałowała, że nie ma pod ręką lusterka. Wiedziała, że musiał jej się rozluźnić warkocz, pospiesznie zapleciony wczesnym rankiem. Wyobrażała sobie, że od wilgoci i gorąca gęste rude włosy, które z byle powodu zaczynały się skręcać w pierścionki, rozwianą aureolą otaczają jej głowę...

Chociaż oczywiście ani trochę nie dbała o to, jak ludzie oceniają jej wygląd. Powierzchność jest przecież jedynie pozorem, a nie istotną miarą wewnętrznej wartości człowieka.

Tylko że lord Niall wyglądał tak... miło. Nim zapoznano ją z Platonem, Mairi z zapałem studiowała fizjonomie. Otóż z punktu widzenia owej nauki oblicze młodszego z braci

Donnegalów miało wszystkie rysy przypisywane ideałowi męskości: orli nos, mocny podbródek, kwadratową szczękę i spadziste, lecz nie nazbyt nawisłe czoło. Podobnie jak starszy brat -w przeciwieństwie zaś do bratowej, bratanic i bratanków - Niall miał ciemne włosy. Ich gęste fale spływały na ramiona, sięgając niżej niż rogi kołnierza koszuli. Właściwie przypominał tych szykownych młodzieńców, co w urodziny swych sióstr przyjeżdżali do klasztornej szkoły, w której Mairi pobierała nauki. Tylko wtedy zresztą wolno było mężczyznom wchodzić na teren klasztoru.

Ale żaden z tych młodych ludzi nie hańbił się pracą. Wręcz przeciwnie: wiodli żywot beczynny, pływając się w luksusie.

I oto spotkała kawalera, który nosił się równie bogato, jak bracia jej szkolnych koleżanek, a zarazem był podobno lekarzem. Wydawało jej się to po prostu niemożliwe. Początkowo nie mogła wręcz uwierzyć, że to naprawdę lekarz. Sam pomyślał, że miałyby pozwolić temu młodemu elegantowi - mówiąc ściśle, naprawdę elegancki byłby, jeśliby ściał te długie włosy - oglądać swoją nagą stopę, mocno ją zaszokował. Co powiedziałaby na to matka przełożona, gdyby jeszcze żyła? Zakonnice nieustannie przestrzegały swoje młode podopieczne przed męską lubieżnością, jedno zaś z najbardziej złowrogich niebezpieczeństw, jakie, ich zdaniem, czyhały na dziewczęcą niewinność, można było sprowokować, pokazując mężczyźnie - nawet medykwowi - nogę w kostce.

Lecz choć Mairi uważnie przyglądała się lordowi Niallowi, gdy ten ją badał, nie dostrzegła ani śladu żądy w jego oczach, których szarość miała dokładnie ten sam odcień co zimowe niebo za oknem. Nie wyrażały niczego prócz czysto profesjonalnego zainteresowania. Bardzo jej się zresztą podobały, chociaż ich jasność dziwnie kontrastowała z ciemną cerą twarzy.

Nie mogły jednak być dziwniejsze od jej oczu, okolonych rzęsami tak ciemnymi, że zakonnice nieustannie oskarżały ją,

iz czerni je węglem. Gdzieżby tam zawracała sobie głowę takimi błahostkami! Bo niby po co? Wcale nie zależało jej na tym, żeby zwracać na siebie uwagę. Nieokielznane rude włosy i stanowczo za niebieskie oczy sprawiały, że już i tak zupełnie wystarczająco odznaczała się w tłumie. Była - co przy lada okazji podkreślał Alistair - pomiotem elfów.

I od urodzenia dźwigała ich klątwę.

Patrząc na nią tymi dziwnie jasnymi oczami, brat księcia zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście - odparła nieco może zbyt pospiesznie. - Kartofle bardzo mi smakuja.

Kąciki jego ust lekko uniosły się.

- Naprawdę? - upewnił się. Nim jednak zdążył cokolwiek dodać, jego bratanek oskarżycielskim gestem wymierzył palec wskazujący w leśniczego i zawołał:

- A pan Fergus zna panią wróżkę! Mówi do niej „panno Mairi”!

Poczuła, że fala gorąca oblewa jej twarz. Zerknęła na leśniczego i stwierdziła, że biedak też cały poczerwieniał.

- On tylko żartował- powiedziała czym prędzej.- Pan Fergus mnie nie zna, to przecież jasne. Niby skąd miałby mnie znać?

- Mówił, że bardzo pani wyrosła - nie dawał za wygraną wicehrabia.

Leśniczy coś powiedział, ale tak cicho, że nikt go nie usłyszał. Lord Niall musiał się pochylić i poprosić go, żeby powtórzył.

- Coś mi się... pomyliło- rzekł Fergus tym razem już wyraźnie. Wciąż jednak nie patrzył nikomu w oczy.

- No właśnie ~ z ulgą powiedziała Mairi. Postanowiła przy najbliższej sposobności ukradkiem dać Fergusowi złotego suwerena. - Widzicie? Zaszła drobna pomyłka.

~ Czyli naprawdę jest pani wróżką? - rzekł Collin, nie tracąc nadziei. - Umie pani czarować?

Jego stryj musiał zauważyć, że indagowana ma już dość tej gry, bo nagle powiedział:

- Collin, idź się pobawić z rodzeństwem.

A choć wicehrabia nie był jego synem, głos lorda Nialla zabrzmiał tak władczo, że chłopiec spełnił polecenie, i to dość spiesznie. W ślad za nim z nie mniejszym pośpiechem odszedł Fergus, mamrocząc pod nosem, że ma jakieś sprawy do załatwienia, więc najmocniej jaśnie państwa przeprasza...

Zaraz jednak wezwał go z powrotem lord Niall, pytając tym samym władczym tonem, którym przed chwilą zwrócił się do bratanka:

- Skąd znasz tę panią?

Leśniczy całkiem się zacukał i mnąc czapkę w dłoniach, unikał wzroku lorda Nialla.

- Wcale jej nie znam, proszę jaśnie pana - odrzekł w końcu. - Z kimś mi się pomyliła.

- A z kim mianowicie?

- Jestem pewna, że panu Fergusowi nie brak pilnych zajęć - szybko wtrąciła Mairi. - Prawda, panie Fergus?

Starzec skłonił się niezgrabnie i przytaknął:

- Ano nie brak, panienko. Za pozwoleniem jaśnie pana...

To powiedziawszy, opuścił komnatę z szybkością, która u mężczyzny w jego wieku musiała się wydać godną podziwu. Gdy tylko znikł, Mairi zadarła głowę, zwracając się ku bratu księcia. Była pewna, że policzki ma czerwone jak wiśnie, bo w gniewie zawsze oblewała się pąsem.

- Przecież mówił panu, że się pomylił. Czemu musiał go pan jeszcze tak poniżyć?

- Poniżyć! - z niedowierzaniem powtórzył lord Niall. - Ja tylko zadałem parę pytań słudze, którego znam od lat. To chyba jeszcze nie poniżanie? A jeśli rzeczywiście czuła pani, że

zbyttno pomiatam Fergussem, czemu nie wyratowała go pani z tej opresji? Mogła mi pani przecież po prostu sama powiedzieć to, co chciałem od niego wydobyć?

Mairi uniosła brwi, bo logika tego rozumowania nie przypadła jej do gustu.

- A właściwie dlaczego pan się tak upiera, żeby ustalić, kim jestem? - spytała.

- To chyba oczywiste - odparł, zagłębiając jasne spojrzenie w jej oczach.

Dziwny dreszcz przebiegł jej po rękach od dłoni aż po ramiona, gdy tak patrzyła w te srebrzyste źrenice. Podobnie czuła się, kiedy przed chwilą uśmiechnął się do niej. Było to niepokojące uczucie. Ma wilcze ślepie - pomyślała. Właśnie tak: wilcze. Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć?

Oczywiście nigdy w życiu nie widziała wilka, ale wydawało jej się, że tylko wilk mógłby patrzeć na nią tak śmiało, jakby chciał ją pożreć. Zarazem jednak była dość pewna, że żadna wilcza ofiara nigdy nie czuła się tak jak ona teraz. Akurat w tej chwili miała bowiem wrażenie, że zostać pożartą przez tę potężną, zgrabną bestię to jeszcze nie byłby wcale taki znowu najgorszy los...

Otrząsnęła się i oprzytomniała. Wieki Boże! Co też się z nią dzieje?

Spuściła wzrok.

To chyba oczywiste - powiedział przed chwilą. Co miał na myśli? Co też mógł mieć na myśli?

- Proszę mi to wyjaśnić - zażądała, w duchu winszując sobie, że udało jej się to powiedzieć tak obojętnie.

- Jako dżentelmen, a zarazem lekarz czuję się moralnie zobowiązany otoczyć panią opieką. Nie mogę zaś tego zrobić, póki nie wiem, przed czym mianowicie mam pani bronić.

Ach. Więc tylko o to mu szło.

- Proszę mi zatem wierzyć, milordzie, że będzie dla mnie

najzdrowiej i najbezpieczniej, jeśli szybko się stąd oddalę - odrzekła, z przyzwyczajenia dodając w duchu: Dla ciebie, mój panie, to też najzdrowsze i najbezpieczniejsze wyjście.

Zauważyła, że w odpowiedzi zmrużył tylko te swoje wilcze ślepie. Nagle jakby stracił nieco pewności siebie.

- Gdyby zechciała mi pani po prostu powiedzieć, przed jakim właściwie niebezpieczeństwem pani ucieka, to może mógłbym być w czymś pomocny - rzekł ze szczerą troską.

Pokręciła głową.

- Obawiam się, że mógłby pan próbować skłonić mnie do powrotu... - zaczęła.

Przerwał jej, a ona z ulgą spostrzegła, że jest wyraźnie wstrząśnięty, wręcz urażony tym posądzeniem.

- Tego nigdy bym nie zrobił. A już na pewno nie wbrew pani życzeniom.

- Ma pan bardzo niefrasobliwy stosunek do moich życzeń - przypomniała mu. - Przecież wcale nie chciałam znaleźć się w Donnegal Manor, a pan mimo to mnie tu przyniósł.

- Ale tutaj jest pani bezpieczna i ma należyłą opiekę. To znacznie lepsza sytuacja, niż gdyby znalazła się pani sama jedna na trakcie pocztowym albo co gorsza w Edynburgu lub w Londynie...

- Nie, właśnie w Londynie byłabym bezpieczna - odrzekła z uporem. - Bo tam, w wielkim mieście, każdy może do końca życia ukrywać się, korzystając z dobrodziejstw zupełnej anonimowości. Podczas gdy tutaj z każdą mijającą chwilą jestem bliższa zdemaskowania.

A ty - dodała w duchu - z każdą mijającą chwilą jesteś bliższy śmierci. Bo chociaż kłątwa mogła być czczym zmyśleniem, ten, kto ją wymyślił, był człowiekiem z krwi i kości, w żadnym zaś razie nie zapałałby życzliwością do ludzi, którzy - choćby całkiem bezwiednie i w najlepszej wierze - udzieliliby pomocy jego zbiegłej zdobyczy...

- Czemu nie chce pan pojąć, że najlepiej będzie, jeśli odejdę? - spytała żalonym tonem.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Niall był tak wysoki, że Mairi musiała wykręcać sobie szyję, żeby spojrzeć w te jego niepokojące srebrzyste oczy, bynajmniej niepodobne do oczu mężczyzny z towarzystwa, prędzej już przypominające ślepią jakowego mieszkańca kniei.

Nie potrafiła jednak oderwać od nich wzroku, nawet gdy Niall pierwszy umknął spojrzeniem, nie mogąc już dłużej znieść widoku jej piersi, falującej ze wzburzenia. Mairi z trudem powstrzymywała się od tego, żeby nie krzyknąć przeraźliwie albo nie zacząć rzucać jakimiś przedmiotami. Straszna to klątwa urodzić się rudowłosą... Z powodu tej klątwy równie słabo panowała nad swoim porywczym temperamentem, jak... no właśnie: jak królowa elfów z baśni dla dzieci. Rude włosy były pod pewnymi względami jeszcze cięższym brzemieniem niż ta druga klątwa, pod którą podobno się narodziła. Ziszczeniu tej drugiej mogła bowiem w jakimś stopniu przeciwdziałać, lecz temperament raz po raz wymykał się jej spod kontroli.

Z wielkim trudem powstrzymała się od krzyku. Pociągnęła za brzegi pelisy i zakryła nią te partie swego ciała, których falowanie tak bez reszty przykuło uwagę lorda Nialla, i pozbawiła go w ten sposób bezsprzecznie fascynującego widoku.

Dopiero ten zdecydowany ruch Mairi uświadomił mu, że - co prawda całkiem bezwiednie - jak skończony nieokrzesaniec zagapił się na jej piersi. Wyraźnie się wzdrygnął i odrywając spojrzenie od miejsca, w które ostatnio się wpatrywał, znów popatrzył jej w oczy. Ledwie zdążył otworzyć usta, żeby coś powiedzieć - zapewne przeprosić, jak domyślała się Mairi - gdy przerwała mu księżna, która posuwistym krokiem podeszła do nich, niosąc dwa puchary.

- Niall, bądź łaskaw skosztować tego ponczu - powiedziała. - Euan mówi, że za słodki. Jeden srebrny puchar podała

szwagrowi, a z drugim pochyliła się nad Mairi. - Lubi pani poncz, moja droga? Zechce pani skosztować i zdradzić mi swoje zdanie?

Biorąc od niej puchar, Mairi poczuła pod palcami chłód srebra.

Natomiast lord Niall okazał się jeszcze bardziej porywczym niż ona, choć nie miał po temu żadnej wymówki, bo ani nie był rudy, ani nie dźwigał brzemienia dozgonnej klątwy. Mimo to chlusnął zawartością swojego pucharu w płomień, które strzeliły raptownie w górę, podsyczone ponczem, i odszedł bez słowa.

Mairi nie była szczególnie zaskoczona jego zachowaniem, zaczęła już bowiem podejrzewać, że ma on w sobie tyle samo z wilka, ile ona z elfa, nie można się więc po nim spodziewać zbytnej oglądy.

Widocznie jednak było to błędne przypuszczenie - a może Niall tylko czasem zachowywał się jak wilk - bo Irmgarda głośno się zdziwiła:

- A cóż go raptem napadło?

- Może już taki jest? - zasugerowała Mairi.

- Niall? Ależ skąd! - odparła księżna, patrząc z troską w ślad za odchodzącym szwagrem. - O czym pani z nim rozmawiała?

- Nie chciałam mu powiedzieć, kim jestem - cicho rzekła Mairi.

- Aha - mruknęła Irmgarda. - To go rzeczywiście musiało zdenerwować. Niall nie przepada za tajemnicami. Bardzo lubi porządek.

- Ale to nie znaczy, że mu nie ufam! - zawołała Mairi z okropnym poczuciem winy. - Po prostu nie chciałabym, żeby jemu czy komukolwiek z was stało się coś złego!

Księżna uniosła wąskie jasne brwi.

- Więc to aż taka poważna sprawa? - spytała.

Uświadomiwszy sobie, że jej okrzyk musiał widocznie zabrzmieć dość dramatycznie, Mairi czym prędzej dodała:

- Znadto się państwo nie przejmujcie, ale naprawdę im wcześniej stąd pójde, tym lepiej. Myśli pani, że ostatni wieczor ny dylizans już odjechał? A może jednak mam jeszcze szansę go złapać?

W odpowiedzi księżna zrobiła coś, co bynajmniej nie licowało z jej tytułem, a mianowicie prychnęła.

- Moja droga, cóż to w ogóle za pomysł? - zdumiała się. - W najbliższym czasie nie będzie żadnych dylizansów. Na pewno nie dziś i raczej jeszcze nie jutro. W taką zadymkę nie da się podróżować.

Mairi poczuła, że coś w niej się kurczy.

- Naprawdę pani tak sądzi?

- Nie sądzę, tylko wiem. Chyba nawet nie wszyscy dzierżawcy, których zaprosiliśmy na dzisiejszy bal, zdolają tu się przedrzeć. Ale z drugiej strony, skoro śnieg jest nieprzebytą przeszkodą dla dylizansu i dzierżawców, to zatrzyma też i tego niewiadomego prześladowcę, który panią ściga. I tylko proszę mi nie mówić, że nie zgadłam. Widać po oczach, że przed kimś pani ucieka.

Lecz Mairi wiedziała, że kto jak kto, ale Alistair nie ugrzęźnie w zaspie. Co prawda dziś po południu wymknęła mu się w lesie - i to właśnie dzięki śnieżycy - on jednak dopilnuje, żeby się to nie powtórzyło.

- A poza tym - dodała księżna, obchodząc kanapę, żeby zabrać pusty puchar, z którego Niall chlusnął ponczem w ogień, a drugi, również już opróżniony, odebrać z rąk Mairi - nie może pani przecież podróżować z nogą w łupkach.

- Ale ja muszę! - upierała się Mairi. - Jak najszybciej powinienam znaleźć się w Londynie!

- W Londynie? To straszny kawał drogi!

Lecz z punktu widzenia Mairi Londyn i tak był jeszcze za blisko. Alistair na pewno by ją odnalazł w Glasgow czy w Edynburgu, ale w Londynie trudniej będzie mu ją odszukać. A zresztą raczej się nie domyśli, że tam właśnie pojechała.

- No cóż - z powątpiewaniem rzekła Irmgarda, widząc jej zdeterminowaną minę. - Sama pani najlepiej wie. Pewnie ma pani w Londynie przyjaciół?

- Nie mam - przyznała Mairi. Nie miała przyjaciół, nikogo nie znała. Alistair o to zadbał. Drań. Właściwie lepiej od razu powiedzieć: potwór, nie człowiek.

Powiodła spojrzeniem w stronę lorda Nialla, który stał po przeciwnej stronie komnaty, zwrócony plecami do wszystkich obecnych, i patrzył przez okno, jak pada śnieg.

Za to ten - pomyślała - zasługuje na miano człowieka.

Księżna musiała widocznie zauważyć, na kogo Mairi patrzy, bo nagle powiedziała:

- Mój szwagier ma w Londynie kilka posad do wyboru.

Przyłapaną na tym, że mu się przygląda się, Mairi czym prędzej oderwała od niego spojrzenie.

- Ach, tak? - rzekła najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Owszem-przytaknęła księżna. - Ale Londyn to dla niego zbyt zdrowa okolica, podobnie zresztą jak Kilcairn. Widzi pani, on szuka lekarstwa na tyfus, zamierza więc osiąść w możliwie najniezdniejszych stronach, w których raz po raz wybuchają epidemie tyfusu.

- Tyfusu? - powtórzyła Mairi i wyprostowała się. - Dur brzuszny?

- No właśnie. - Księżna westchnęła. - To pewnie jedna i ta sama choroba. A w Kilcairn, o ile mi wiadomo, nikt na nią nie chorował, odkąd umarła na nią matka Euana i Nialla, czyli poprzednia księżna.

- Nic o tym nie wiedziałam - wymamrotała Mairi.

- Bo i skąd miała pani wiedzieć? Oni niechętnie o tym wspominają. A teraz, moja droga, porozmawiajmy o czymś, co z pewnością wolałaby pani przemilczeć, ja jednak muszę panią o to spytać i mam nadzieję, że odpowie mi pani szczerze.

Ten pani prześladowca... Tylko proszę nie zaprzeczać, że ucieka pani przed mężczyzną, bo sama wiem, że tak jest... Czy to pani mąż? —"

Mairi nie zdołała pohamować raptownego dreszczu, który targnął całym jej ciałem, chociaż wcale nie czuła chłodu.

- Jeszcze nie - odparła, patrząc w podłogę.

6

Coś kiepsko się bawisz - zauważył Euan.

Niall wzruszy ramionami i omiół wzrokiem salę, w której tymczasem zsunięto stoły pod ściany, bo gdy dotarli na miejsce najbardziej zapóźnieni dzierżawcy, zaczęły się tańce.

Sama myśl o tańcach w Donnegal Manor wydawała się cudownie niedorzeczna, w domu tym bowiem nigdy nie tańczono, przynajmniej jak daleko Niall sięgał pamięcią.

Dzierżawcy byli na początku nieco skrepowani. Może im się nawet wydawało, że zaproszenie od nowego księcia ma jakiś podejrzany podtekst. Lecz smakowite jedło i napitki, muzyka, dekoracje i prezenty zrobiły swoje, toteż goście w końcu radośnie ruszyli w tany.

Tylko Niall ani trochę nie potrafił cieszyć się tym wszystkim. Nie umiał nawet przytupywać nogą w takt muzyki.

- To przez tę dziewczynę, co? - domyślił się Euan.

Brat nie tylko mu nie odpowiedział, ale nawet nie odwrócił głowy, więc książkę ciężko westchnął.

- Wiedziałem. Trzeba było ją zostawić tam, gdzie ją znaleźliśmy.

Teraz dopiero Niall spojrzął na niego.

- I pozwolić, żeby zamarzła na śmierć? - spytał.
- O, jakoś by się wykaraskała.
- Wiem, co myślisz. Myślisz, że ten jej mąż, który istnieje wyłącznie w twojej wyobraźni, odnalazłby ją niebawem, a my mielibyśmy ją z głowy.
- No właśnie - przytaknął Euan. Z pobliskiej tacy wziął jabłko i ugryzł spory kawałek. - Właśnie tak myślałem. Póki nie powiedziała Trmgardzie, że nie jest mężatką.
- Niall rzucił mu ostre spojrzenie.
- Nie jest? - upewnił się.
- Nie - odparł Euan, hałaśliwie miażdżąc w zębach kęs jabłka. - Wygląda na to, że uciekła od narzeczonego. To zresztą, moim zdaniem, o wiele lepiej, niż gdyby urwała mu się po fakcie. Osobiście wolałbym, żeby dziewczyna zostawiła mnie u ołtarza, bo porzucenia w trakcie miodowego miesiąca chyba nie przeżył. A ty co byś wybrał z dwojga złego?
- Niall milczał, wciąż jeszcze w szoku.
- Więc to tylko narzeczonego? - rzekł po chwili.
- Oby nie był nim pastor - powiedział Euan. - Chociaż umiałbym zrozumieć jej niechęć, gdyby to był jednak on. Trochę jest zasuszony. Ale nie wyobrażam sobie, żeby się bardzo ucieszył na wieść, że przechowujemy jego niedoszłą. Pewnie by palnął kazanie i przedstawił całą tę historię jako odstraszący przykład dla swojej trzódki. Irmgarda nie byłaby zadowolona, Masz. - Odłożył, jabłko i wetknął bratu w rękę talerz. - Zanieś jej kawałek ciasta.
- Irmgardzie? - zdziwił się Niall.
- Nie Irmgardzie, tylko tej dziewczynie, ty dumniu.
- Kawałek ciasta?
- Tak, ciasta. - Księżę położył bratu dłoń na karku i siłą obrócił go w stronę kominka, przy którym Mairi wciąż leżała na kanapie. - Żadna kobieta na świecie nie oprze się kawałkowi ciasta.

- Niall patrzył na talerz, który trzymał w ręku.
- Obawiam się, Euan, że potrzeba będzie czegoś więcej niż ciasto, żeby ogrzać serce akurat tej młodej damy. Ona najwidoczniej myśli, że ją więzimy. Chyba nas serdecznie niena widzi.
- Mnie, sprecyzował w duchu. To mnie tak nienawidzi.
- Bzdura - orzekł Euan z przekonaniem. - Żadna kobieta nie oprze się mężczyźnie, który przychodzi z ciastem na talerzu.
- Wyjdzie na to, że w żalony sposób usiłuję sobie zaskarbić jej łaski - powiedział Niall.
- Czy ty zawsze musisz dzielić włos na czworo? - zdenerwował się Euan. - Na miłość boską, przecież to tylko kawałek ciasta - zakończył, popychając brata w stronę kanapy.
- Niall ledwie zdołał uniknąć zderzenia z czwórką roztańczonych dzierżawców, którzy tylko roześmiali się, ubawieni tą kolizją, i zeszli mu z drogi. Czuł się jak skończony głupiec, kiedy ominąwszy resztę tancerzy, szedł między stołami zastawionymi mnóstwem smakołyków, takich jak łosoś krajany w cieniuteńkie plasterki, wędliny, pieczone gęsi i bażanty, zapiekane kartofle i brukselka z topionym masłem, rozmaite ciasta i słodczyce, no i oczywiście pudding, a wszystko to podane na drogocennych srebrach Henry'ego Donnegala i nieodparcie apetyczne. Oszołomione miny gości zdawały się świadczyć, że apetyt im dopisuje.
- Idąc slalomem między stołami, Niall dotarł wreszcie do ogromnego kominka - tak wysokiego, że mógłby w nim stanąć dorosły mężczyzna.
- Wbrew swym nadziejom nie zastał Mairi samej, lecz w otoczeniu całej gromadki dzieci. Byli wśród nich jego bratankowie i bratanice, reszta jednak wydała mu się nieznajoma.
- Ty - mówiła właśnie Mairi do jednej z dziewczynek, patrząc na jej wyciągniętą dłoń - zostaniesz cesarzową Chin.
- Irmgarda, która akurat tamtędy przechodziła, zatrzymała się

na chwilę i podążywszy za spojrzeniem szwagra, rzekła, kręcąc głową:

- To wszystko sprawka Sileas.
 - Jakiej znowu Sileas?
 - Piastunki naszych dzieci. Collin podsłuchał, jak opowiadała jakąś bajkę o ludziach, którzy mają rude włosy i czarne rzęsy. Oni rzekomo są...

- Potomkami elfów - dokończył za nią Niall. - Owszem, moja matka też tak twierdziła.

Irmgarda uniosła brwi. Niall wiedział, co ją tak zdziwiło: jego wzmianka o matce. Ani on, ani Euan nieczęsto wspominali zmarłą księżnę.

- W każdym razie - podjęła - Collin okropnie się przejął tą nowiną i zaczął dręczyć biedaczkę, żeby mu powróżyła. Zdaje się, że nie bardzo jeszcze rozumie, od czego są elfy, a od czego Cyganie. Ale ona całkiem dzielnie to znosi, sam zresztą widzisz. Pewnie uznała, że z dwojga złego prościej będzie ulec żądaniom Collina, niż stawiać opór. - Niall nie mógł nie zauważyć sprytnego wyrazu, który nagle pojawił się w oczach bratowej. - Wiem z doświadczenia, że na Donnégalów czasem nie ma innego sposobu.

Spojrzał na nią z wyraźnym sarkazmem.

- Masz- powiedział, wtykając jej do rąk talerz, który dał mu Euan. - Mnie on po nic.

Odwrócił się na pięcie i miał już odejść, ale Irmgarda zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nie idź. Nie chcesz, żeby i tobie powróżyła?

Niall popatrzył na dziewczynę. W blasku ognia jej cera nabierała kremowego odcienia, a w gęstej grzywie włosów migotały złociste iskierki. Nie widać było, żeby próbowała choć trochę zapanować nad tą rudą kaskadą, która swobodnie spływała jej na plecy i ramiona. Wyglądało to wręcz niesamowicie. Mairi naprawdę przypominała jakąś postać nie z tego

świata - leśną nimfę lub driadę. Nic dziwnego, że dzieci uwierzyły, iż potrafi wywróżyć przyszłość.

- Pirat - oznajmiła, patrząc w wyciągniętą dłoń najmłodszego synka Irmgardy i Eua. - Opłyniesz siedem mórz i będziesz nosił strasznie długie wąsiska.

- A czy kogoś pozabijam? - zapytał podekscytowany chłopczyk.

- Zabijesz całe mnóstwo ludzi - z powagą odrzekła Mairi.

Wśród dzieci rozległy się zawistne pomruki, a zachwycony Rory odbiegł tanecznym krokiem.

- Z drogi! - zawołała Irmgarda.

Zanim Niall zdążył się połapać, energicznie przepchnęła go przez gęstwę psów i dzieci.

- Z drogi! Z drogi! - powtarzała.

Stanąwszy tuż przy kanapie, zwróciła się z pytaniem do dziewczyny, która twierdziła, że na imię jej Mairi:

- Czy nie zechciałaby pani dla odmiany powróżyć stryjowi naszego pirata, jaka czeka go przyszłość?

Nie okazując zdumienia ani niechęci, dziewczyna wskazała Niallowi haftowany podnózek, obok kanapy.

- Ależ oczywiście - odrzekła. - Jeśli tylko stryj pirata raczy usiąść...

Niall nie umiał jednak się zdobyć na aż takie opanowanie.

- Nie ma najmniejszej potrzeby - odparł, delikatnie, lecz zdecydowanie oswobadzając rękę, za którą trzymała go Irmgarda.

- No pewnie, że nie ma potrzeby - zgodziła się z nim bratowa. - Ale to dobra zabawa. Zobaczysz, spodoba ci się.

- Wcale mi nie zależy na tym, żeby wiedzieć, co mnie czeka - upierał się Niall.

- No to jest pan jedynym takim okazem na świecie - zauważyła Mairi zrównoważonym tonem, któremu jednak zadawał kłam wyraz jej oczu, w nich bowiem migotało napięcie.

Policzki oblał jej rumieniec. - Ja, na przykład, wszystko bym oddała, byle tylko móc choćby przelotnie zerknąć w swoją przyszłość.

- Jest pani chora - rzekł Niall, który ku własnemu zaskoczeniu, wbrew wcześniejszym protestom, osunął się na haftowany podnózek i położył palce na jej gładkim białym czole. - Ma pani gorączkę.

- To od ognia bije taki żar- odparła, ujmując oburącz jego dłoni. Odwróciła ją wnętrzem do góry i rzekła tonem znawczyni: - O...!

Dzieci odeszły, zgnębione tym, że przerwano im zabawę, w którą bez pytania wtargnął ktoś dorosły, lecz gdy Irmgarda powiedziała im, że pod choinką czekają liczne upominki, podziało to na ich strapienie jak kojący balsam.

Znalazłszy się znów sam na sam ze spotkaną w lesie nieznaną, Niall raz jeszcze poczuł ten sam niepokój, który ogarnął go, gdy nastawiał jej zwichniętą kostkę. Wstyd mu było przed sobą, że owładnął nim tak silny pociąg do dziewczyny, o której istnieniu rano jeszcze nie wiedział, i to w dodatku pacjentki! Co go napadło? Jego mentorzy pokładali w nim wielkie nadzieje, a on przy pierwszej prawdziwej próbie sromotnie zawiódł...

- Widzę przed panem - zaczęła dziewczyna, wpatrując się w jego dłoni - przyszłość pełną szlachetnych czynów.

- Szkoda pani czasu - odparł, nie zabierając jednak dłoni. - Nie wierzę we wróżenie z ręki.

- Oczywiście, że pan nie wierzy - rzekła, pochylając głowę. Jej spuszczone oczy kryły się w cieniu niemożliwie długich rzęs. - Jest pan bądź co bądź uczonym. Ale ja pochodzę przecież z rodu elfów, więc inaczej patrzę na te sprawy...

Trzymając jego dłoni, delikatnie musnęła koniuszkami palców jej wnętrze, a jemu od tego dotyku, leciuteńkiego jak puch, przebiegł po plecach dreszcz.

Zadał sobie w duchu pytanie, czy dziewczyna ma choć przybliżone pojęcie o tym, jakie wywiera na nim wrażenie.

- Wybiera się pan - ciągnęła - w bardzo daleką podróż.

Mimo woli zdziwił się.

- Tak, to prawda - przyznał.

- A kiedy już znajdzie się pan u celu, zamierza pan ciężko pracować. Wyleczy pan wielu chorych.

- Owszem - przytaknął. - Jestem przecież lekarzem. Leczenie chorych to mój zawód. Żeby to wywróżyć, niekoniecznie trzeba pochodzić z rodu elfów - dodał z szelmowskim uśmiechem, którego ona jednak nie zauważyła, całkowicie pochłonięta wpatrywaniem się w jego dłoni.

Zignorowała jego słowa.

- Wyleczy pan wielu chorych - powtórzyła. - Zwłaszcza cierpiących na dur brzuszny.

Tak nim to wstrząsnęło, że nawet nie próbował oswobodzić dłoni. Zastygł w bezruchu i tylko patrzył na dziewczynę, mrugając.

Wszystko się zgadza - pomyślał. Przeczucie go nie omyliło i matka też nie minęła się z prawdą, kiedy przed wieloma laty powiedziała, że rudowłose dziecko o ciemnych rzęsach jest nie z tej ziemi, jest odmieńcem.

A potem przypomniał sobie, że przed dwiema godzinami widział Mairi pogrążoną w rozmowie z Irmgarda. Było mu wstyd, że serce łomocze mu w piersi, kiedy spytał najspokojniej, jak potrafił:

- Wie pani to wszystko od mojej bratowej, prawda?

Długie rzęsy uniosły się, odsłaniając dwoje lazurowych jezior.

- Oczywiście. Ale przez chwilę mi pan wierzył. Proszę się nie wypierać.

Zdołał się uśmiechnąć. Nie chciał wyjść na kogoś, kto nie umie poznać się na żarcie, nawet jeśli sam jest tego żartu

przedmiotem. Był to chyba jednak niezbyt przekonujący uśmiech, bo dziewczyna puściła jego dłoń i osunęła się z powrotem na kanapę, wycofując się z kręgu światła, które padało z kominka, i kryjąc w cieniu.

- Och, obraziłam pana - powiedziała.

- Ani trochę - zapewnił ją czym prędzej. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. - Ja...

- Nie, sama widzę, że pana obraziłam. Przepraszam. Musi pan wiedzieć, że mam mnóstwo podziwu dla pańskich zamiarów, ponieważ... - Zawahała się, potem jednak zdobyła się na odwagę i dokończyła. Widzi pan, akurat zeszłej jesieni grasował w mojej szkole.

Niall uniósł brwi.

- Kto grasował? - zapytał, ale Mairi tak jakby go nie słyszała.

- Jedna z koleżanek - mówiła pośpiesznie - dostała lekkiej wysypki, ale matka przełożona specjalnie się nie przejęła, ponieważ nosiliśmy habity ze strasznie szorstkiej wełny, więc pomyślała, że to zwykłe obtarcie, bo dziewczęta przyzwyczajone do bardziej delikatnych tkanin często dostawały podrażnień skóry. Lecz już nazajutrz ta, co miała wysypkę, obudziła się z wysoką gorączką. I wtedy było już za późno. W sumie piętnaście uczennic i dziesięć zakonnic, w tym matka przełożona, dostały gorączki.

- Czy pani mówi o tyfusie? - spytał Niall, wpatrując się w nią rozszerzonymi oczami. - Objawy wskazują, że to musiał być tyfus.

- Oczywiście - przytaknęła, pochylając się tak, że jej twarz wyłoniła się z cienia.

Niall spostrzegł, że zdumiewające oczy Mairi błyszczą bynajmniej nie od gorączki, lecz z bólu, i to całkiem innego niż ten, który musiała znieść, kiedy nastawiał jej zwichniętą kostkę. Tamten ból był czysto fizyczny, teraz zaś dramat rozgrywał się znacznie głębiej.

- W końcu - podjęła po chwili tak cichym głosem, że musiał się ku niej pochylić, żeby usłyszeć, zwłaszcza że kapela właśnie zagrała kolejną skoczną melodię - nie zachorowałam tylko ja, siostra Mary Alice i ogrodnik.

- Wielki Boże! - ze zgrozą westchnął Niall, opowiadanie tej wstrząsającej historii zajęło jej bowiem dokładnie tyle samo czasu, ile przeciętna dziewczyna potrzebowałaby, żeby podzielić się wrażeniami z wyprawy do modystki. - Pani krewni musieli chyba z troski o panią odchodzić od zmysłów - wypalił bez namysłu.

Dziewczyna zamrugła.

- Ależ skąd. Nic im przecież nie powiedziałam.

- A to dlaczego? - zdziwił się.

- Wiedziałam, że ściągnęli mnie by z powrotem do domu, a ja chciałam zostać w klasztorze i pomagać.

Jeden z psów, które wylegiwały się przy kominku, zapatrzone w ogień, poruszył się niespokojnie, usiadł i oparł łeb o kanapę tuż przy dłoni Mairi. Dziewczyna pogłaskała go po uszach.

- Nie było tam przecież nikogo innego do pomocy. Tak mi zresztą nakazywało poczucie sprawiedliwości - dodała, rzucając Niallowi niemal nerwowe spojrzenie. — Zważywszy na to, że sama w ogóle nie zachorowałam.

Niall patrzył na nią zdumiony, wręcz zauroczony. Bo czy kiedykolwiek żyła na świecie istota bardziej niezwykła od tej, którą miał przed sobą?

- A czy nie było tam lekarza? - spytał prawie z lękiem.

- Pewnie, że był - odparła, z uwagą wydłubując rzep, który zaplątał się w psiej sierści za uchem. - Ale zaraza ogarnęła całą dolinę więc miał pełne ręce roboty. A zresztą, wie pan, w przypadku tyfusu niewiele da się poradzić. Można tylko próbować obniżyć gorączkę za pomocą zimnych okładów, no i oczywiście nie podawać pokarmów stałych.

Przyglądał jej się w skupieniu. Karmienie chorych na tyfus

miewało zazwyczaj zgubne skutki, gdyż nawet najmniejszy kąsek mógl spowodować krwawienie albo i perforację. Lekarze jednak dopiero teraz zaczęli zdawać sobie sprawę z tego faktu i częstokroć sami nie bardzo potrafili uwierzyć, że głodzenie pacjenta może podziałać zbawiennie. Tym trudniej było więc zaszcześcić ową wiedzę laikom. Niall nie wątpił, że gdy jego własna matka umarła na tyfus, bezpośrednią przyczyną śmierci był chleb maczany w mleku, którym karmiono ją zgodnie z zaleceniem lekarza. Sęk w tym, że podczas takiej radykalnej kuracji pacjent mógł po prostu umrzeć z głodu, choroba nieraz bowiem trwała sześć do siedmiu tygodni. Natomiast krewni chorego nie bardzo umieli pozostać głusi na jego rozpaczliwe okrzyki, kiedy domagał się jedzenia.

- W tej sytuacji siostra Mary Alice i ja - ciągnęła dziewczyna- mieszałyśmy dokładnie ubite jajka z piwem i tę miksturę podawałyśmy łyżką pacjentkom. Dało to całkiem niezłe wyniki. Sporo chorych wyzdrowiało. Niestety, nie udało się to matce przełożonej - dodała nieco załamującym się głosem. - Ale spośród reszty ocalała ponad połowa.

Niall wiedział jednak, że nawet taki procent wyzdrowień graniczy z cudem. Ciekawe, czy te siostry i uczennice, które pozostały przy życiu, zdają sobie sprawę, że śmierć minęła je o włos i jak wiele zawdzięczają wysiłkom jednej dziewczyny i jednej zakonnicy. Nie bardzo potrafił uwierzyć, że te dwie podołały tak ogromnemu zadaniu.

Cudem nie było to, że wyzdrowiała z górą połowa chorych, lecz fakt, że nie wszystkie umarły. W przypadku tyfusu opieka nad choćby jednym pacjentem wymagała mnóstwa pracy. Chorego należało myć, zmieniać mu pościel i podawać ogromne ilości wody, pacjentom zawsze bowiem doskwierało straszliwe pragnienie, a gorączka powodowała niebezpieczne odwodnienie ciała. Trzeba też było opróżniać nocniki. Niall nieraz widywał domy, w których mimo silnej motywacji krewnym i służbie już

po paru dniach pielęgnowania zaledwie kilkorga chorych opadały ręce... a tymczasem Mairi powiedziała, że w klasztorze miała pod opieką kilkanaście dziewcząt i kobiet.

To, że we dwie z siostrą Mary Alice zdołały aż tylu chorym przywrócić zdrowie, stanowiło kolejny niezbitý dowód jej nieziemskiego pochodzenia. Przecież żadna przeciętna kobieta nie pozostałaby w klasztorze opanowanym przez epidemię tyfusu, gdyby mogła się z niego wydostać, pisząc parę słów do rodziny. Niall znał lekarzy wzbraniających się wejść do domów, w których leżeli chorzy na tyfus. W tym, że ta młoda dziewczyna nie tylko z własnej woli pozostała wśród chorych, ale kosztem wielkiego wysiłku ratowała ich życie, dostrzegając ważną na jej temat informację, której zresztą udzieliła mu raczej mimowolnie, bo chyba nie zechciałaby wyjawić czegoś takiego o sobie całkiem wprost.

Cóż to mianowicie była za informacja? Otóż ta, że mimo uroczej, delikatnej powierzchowności Mairi miała dzielniejsze serce i silniejszy żołądek niż niejeden mężczyzna, a co dopiero kobieta... nie mówiąc już o żelaznej woli.

- Widzi pan więc - podjęła, w ogóle nie zauważając, jak wielkie wrażenie wywarła na nim jej opowieść - że wcale nie chciałam zbagatelizować pańskich aspiracji. Mam dla nich wiele podziwu. I przewiduję, że się panu powiedzie - dodała z psotnym uśmiechem.

W tym momencie Niall poczuł coś dziwnego. Wydało mu się, że kiedyś już widział taki psotny uśmiech... albo przynajmniej podobny, bo dokładnie tak jak ona w tej chwili nikt przecież nie mógł się do niego uśmiechnąć.

Wrażenie, którego doznał - tak zwane *déjà vu*, jak mawiają Francuzi, ilekroć komuś się zdaje, że doświadcza uczucia skądś znajomego, chociaż w rzeczywistości ogarnia go ono dopiero pierwszy raz - było jednak tak silne, że ledwie zdołał się z niego otrząsnąć. Przyszło mu nawet na myśl, że może

uśmiech Mairi wskrzesił w jego pamięci jakiś dawno zapomniany sen. Była przecież kobietą jakby wprost z męskich snów - istotą o kształtnych kostkach nóg, nieskazitelnej cerze i zdumiewająco błękitnych oczach.

Nigdy jednak - nawet w najśmielszych marzeniach - nie widział kobiety, która przy takiej urodzie umiałaby zarazem dyskutować o Platonie...

I wykazać tyle męstwa w obliczu epidemii tyfusu.

- A co będzie z pani przyszłością? - zapytał znacznie mniej żartobliwie, niż zamierzał.

- Ciekawi pana moja przyszłość? - Uniosła zarysowane delikatnie brwi.

- Owszem - odparł. - To chyba nic dziwnego? Skoro wie już pani, co jest moją życiową ambicją, byłaby może pora, żeby mi pani opowiedziała o swoich. W przeciwieństwie do pani nie mam w żyłach ani kropli cygańskiej krwi, jestem więc w raczej niekorzystnej sytuacji, jeśli idzie o przewidywanie przyszłości.

- Nie cygańskiej krwi, tylko krwi elfów - poprawiła go, ale jego zainteresowanie chyba nie sprawiło jej przykrości, bo się uśmiechnęła. - Nikt mnie nigdy o to nie pytał - odrzekła. - Nikt nie był ciekaw, jakie potajemnie hołubię ambicje.

- No bo przecież jakieś chyba ambicje mieć pani musi - nie ustępował.

- Sama nie wiem - odparła, patrząc na własne dłonie, które wyciągnęła w stronę kominka, tak że w blasku ognia widać było delikatne linie papilarne. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Prawdę rzekłszy, nie przyszło mi na myśl, że mam w tej sprawie jakąś swobodę wyboru.

- Ale teraz już ją pani ma - przypomniał jej.

- Owszem - przytaknęła z lekkim zdziwieniem. - Chyba rzeczywiście mam wybór.

- Czy mogę coś zaproponować?

Podniosła głowę i spojrzała na niego, nie przestając się uśmiechać.

- Jeśli ma pan ochotę - zachęciła go.

Własne myśli zdumiewały go ponad wszelką miarę. Nie miał pojęcia, skąd mu w ogóle przyszły do głowy te burzycielskie, rozkielznane pomysły, dla których nigdy dotychczas nie było miejsca w jego uładowym świecie.

A jednak...

A jednak - o ileż lepiej by było, o ileż lepiej wszystko by się ułożyło, gdyby odtąd zawsze już miał przy sobie tę dziewczynę o psotnym uśmiechu i oczach barwy letniego nieba...

Co mu się nagle stało? Nie potrafił oprzeć się myśli, że to, co powiedziała o swoim pochodzeniu z rodu elfów, może być prawdą. Czyżby z wolna dostawał się we władzę czarów? Czymże bowiem innym można było wytłumaczyć tę niezwykłą myśl, która mu się nasunęła? Jego umysł w ułamku sekundy wyskoczył z wygodnych, sprawdzonych kolein i zapuścił się w całkiem nieznanym, niepokojącym nowym rejony. Niall nie był ryzykantem, nigdy nie działał pod wpływem impulsu. Oto jednak siedział obok kobiety, poznanej przed niespełną dwunastoma godzinami, kobiety, która wciąż jeszcze nie wyjawiała mu swojego nazwiska...

Lecz to nie miało najmniejszego znaczenia. Wszystko to były nieistotne drobiazgi.

Czy wprowadziła go w ten dziwny stan magią, sposobem elfów?

Nie, wykluczone. Niall nie wierzył w magię. Było to coś, do czego dawniej odwoływali się ludzie, usiłując objaśnić sprawy, które dla ówczesnej nauki pozostawały niewytłumaczalne. Z upływem stuleci okazało się jednak, że wszystko daje się racjonalnie wytłumaczyć. Wszystko ma jakiś cel i czemuś służy. Na przykład choinka bożonarodzeniowa. I płonące na niej świece. Jakże łatwo byłoby patrzeć na takie zjawiska

z bezmyślnym zdumieniem, nie biorąc pod uwagę tej ewentualności, że ich istnienie może być podporządkowane jakiemuś celowi.

Lecz Niall nie by zdolny do bezrozumnego zachwytu. Zawsze starał się dociec, jakie jest miejsce danej rzeczy w ogólnym planie wszechświata.

I oto nagle stało się dla niego absolutnie jasne, jakie miejsce we wszechświecie zajmuje Mairi i jaką pełni w nim rolę.

Wyciągnął rękę i chwycił ją za dłoń, którą trzymała na psim łbie.

- Proszę ze mną wyjechać - rzekł głębokim głosem.

Uśmiech nie zniknął z jej ust, chociaż w oczach pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Pojechać z panem? A dokąd to? - spytała.

- Na Skye.

- Skye? - powtórzyła, a oczy jej rozszerzyło zdumienie. - Na wyspę Skye?

- Właśnie tam prowadzę swoją praktykę - wyjaśnił Niall, z zapalem kiwając głową. - Mówiąc ściśle, dopiero zamierzam ją rozpocząć. Domyślam się, że Skye raczej nie należy do tych miejsc, które brała pani pod uwagę, wyobrażając sobie swoje dalsze życie. Rzeczywiście jest tam dość odludnie, ale czasem podobno bywa bardzo pięknie, zwłaszcza latem.

Uśmiech pojawił się na jej ustach i zgasł.

Niall mocniej ścisnął jej palce. Uświadomił sobie, że swoją propozycję sformułował niezupełnie tak, jak zamierzał. Spróbował więc jeszcze raz.

- Tamtejsza ludność żyje w potwornej nędzy - rzekł. - Jest to zarazem jedna z tych okolic, w których co roku tyfus zgarnia najstraszliwsze żniwo. Wybieram się tam, żeby ustalić przy czynę tych epidemii. A ponieważ nie tylko nie boi się pani tej choroby, ale wykazała pani w jej obliczu tyle rozsądku i współczucia... Pomyślałem, że może... Przyszło mi na myśl, że może by pani zechciała...

Przechyliła głowę na bok i słuchała go z uwagą.

- Chciałby pan, żebym z panem pojechała jako pielęgniarka? - spytała z zaciekawieniem.

Teraz z kolei on się zdumiał. Pielęgniarka? Przecież właśnie poprosił ją o rękę, a ona zrozumiała, że proponuje jej posadę!

Ale miała prawo opacznie go zrozumieć, skoro tak się rozwodził nad jej rozsądkiem i współczującą naturą. Powinien był najpierw pochwalić je urodę, potem zaś odwagę w obliczu zabójczej choroby...

Ale co on w ogóle wygaduje? Co on najlepszego wyprawia? Może powinien po prostu zmienić temat.

- No, niezupełnie - powiedział, nie całkiem świadom, że to jego własne słowa. - Miałem na myśli... Chodziło mi o coś nieco innego.

Sprawił takie wrażenie, jakby nie bardzo potrafił się wyśłowić, ale sam ton jego głosu sprawił chyba, że Mairi wyczuła, jakie to przesłanie z takim trudem przechodzi Niallowi przez gardło, nagle bowiem zbladła jak chusta i zaczęła wrywać dłoń z jego uścisku.

- Och! - westchnęła, patrząc wszędzie, tylko nie na niego. - Och!

Zrozumiał, że grubo pomylił się w rachubach. Jak mógł palnąć takie głupstwo? Zanadto się pospieszył, no i pokpił sprawę. Powinien był zaczekać, dać dziewczynie trochę więcej czasu...

Ale przecież nie mógł wiedzieć, czy lada chwila nie straci jej z oczu.

Nie, nie można było dłużej zwlekać. Musiał wyraźnie powiedzieć, co jej proponuje, i zrobić to teraz, natychmiast. Działo się między nimi przecież coś całkiem niezwykłego. Nie potrzeba było naukowca, żeby to zauważyć.

Nial jednak źle zabrał się do rzeczy, chociaż nie był przecież niedoświadczonym uczniakiem. Zdążył już nabyć niejakiego

doświadczenia w stosunkach z kobietami, chociaż nie było ono może tak bogate i urozmaicone jak u innych mężczyzn. Lecz nawet on wiedział, że przeciętnej kobiecie propozycja zamieszkania na wyspie oddalanej od wszelkich ruchliwych szlaków i regularnie pustoszonej przez zarazę nie może się wydać zbyt zachęcająca. Musiał jakoś osłodzić tę gorzką pigułkę. Kobiety - wbrew temu, co twierdzili niektórzy jego koledzy z kręgów naukowych - to istoty rozumujące racjonalnie. Mairi niewątpliwie przywykła do pewnych dobrodziejstw cywilizacji i nie chciała ich się wyrzec. To całkiem naturalne. Trudno było mieć jej za złe, że się waha.

- Mam pięć tysięcy funtów rocznego dochodu - powie dział. - Miałaby więc pani zapewnione wszelkie wygody.

Chyba jednak i tym razem nie utrafił w przyczynę jej wzdragań. Ze zdziwienia otworzyła usta i spojrzała na niego z wyrazem, który w jego odczuciu mocno przypominał zgrozę.

- Czy prosi mnie pan, żebym za pana wyszła? - spytała łamiącym się głosem.

- Otóż to - przytaknął. - Najdokładniej.

Poczuł, że jej dłoń konwulsyjnie drga w uścisku jego palców.

- Czy pan oszalał? - rzekła, utkwivszy spojrzenie we własnym podółku. - Przecież nawet mnie pan nie zna.

- Wydaje mi się, że znam panią, i to całkiem nieźle - odparł z powagą. - Wiem, na przykład, że nie tylko nie boi się pani psów, ale je pani lubi, chociaż jeden z nich dziś panią pogryzł. Wiem też, bo sama mi pani powiedziała, że kiedy zachoruje ktoś, kogo pani kocha, dokłada pani wszelkich starań, żeby pomóc tej osobie wyzdrowieć, choćby wymagało to niemiłych i nieestetycznych zabiegów. Wiem, że ma pani wiele dobroci i cierpliwości dla dzieci, nawet jeśli wmawiają pani, że jest pani Cyganką... albo wróżką z rodu elfów - zakończył, nie umiejąc przy tym powściągnąć uśmiechu.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Lecz gdy musnął kciukiem gładki grzbiet jej dłoni, znowu spuściła powieki, kryjąc przed nim przejrzyste głębie swych oczu.

- I wiem też - ciągnął wciąż tym samym głębokim głosem, z niezmienną powagą - jakie złociste migotania wydobywa z pani włosów blask ognia. Wiem, że kiedy pani dotkam, tak jak w tej chwili, pani policzki przybierają ciemniejszy odcień różu.

Pochyliła głowę, tak że jej bujne rude pukle opadły w dół, zasłaniając przed nim owe kompromitujące policzki. On jednak mówił dalej, bynajmniej nie zmieszany:

- I wiem, że kiedy się pani uśmiecha, w uśmiechu tym oprócz warg biorą też udział oczy. Czyli w sumie wiem o pani całkiem sporo, Mairi. Wiem bardzo, bardzo dużo.

Po ruchu jej krtani poznał, że przełyka ślinę. Jego słowa wywarły na niej wrażenie, tak jak sobie tego życzył. Nie było ono jednak wystarczająco silne.

- Przykro mi - odparła, podnosząc wzrok, aby wyjść na przeciw jego spojrzeniu. Ujrzał łzy, drgające na koniuszkach jej rzęs.

Właściwie nawet się nie zdziwił. Bo niby czym? Doprawdy dziwny był to przecież pomysł, żeby jej się oświadczyć po tak krótkiej znajomości. A ona z pewnością nie należała do tych płochych dziewcząt, którym uderza do głowy poczucie triumfu, gdy trafi im się okazja złowić księżęcego syna.

Nie miał jednak zamiaru dać za wygraną.

Jej imię - pomyślał. - Powiedz jej imię.

Wciąż w tej samej pozycji, nachylony w stronę dziewczyny, wyszeptał:

- Mairi.

Umknęła spojrzeniem, ale pod bufiastymi rękawami sukni drgnęły jej szczupłe ramiona. Lepsze to niż nic - stwierdził w duchu.

- Nie mogę - odparła cicho, ale dobitnie, jakby chciała przekonać o prawdziwości tych słów nie tyle jego, ile siebie samą.

On zaś zrozumiał, co oznacza drgnienie jej ramion: płakała, choć był to płacz bezgłośny. Łza spadła z policzka i rozprysnęła się na staniku... na tym samym staniku, w który niedawno wpatrywał się z zaiste niestosowną koncentracją.

Zadał sobie w duchu pytanie, czy Mairi ma mu to jeszcze za złe. Czy uważa go za lubieżnego nędznika, podobnego do tego mężczyzny, przed którym uciekła? Nie, raczej nie mógł to być pastor. Prędzej już jakiś stary oblesny baronet, którego upatrzyli jej rodzice.

A on, Niall, zachował się co prawda niegodnie, okazując taki pośpiech, ale przecież nie gorzej, niż na jego miejscu postąpiłaby większość mężczyzn. Z pewnością zaś lepiej niż niektórzy. Co więcej, wyraźnie podobał się Mairi. Nie mógł tego nie zauważyć, czując pod palcami jej przyspieszony puls i widząc, jak twarz dziewczyny na przemian rumieni się i blednie. Nie była więc całkowicie odporna na jego fizyczny powab...

Nie sądził, żeby była skłonna uznać go za nieodpowiedniego kandydata na męża tylko dlatego, że zdarzyło mu się jedno niestosowne posunięcie.

Czemu więc płakała?

- Nie musi mi pani od razu odpowiadać – uspokoił ją. – Może dać sobie pani tyle czasu do namysłu, ile potrzebuje. Proszę mi tylko obiecać, że się pani zastanowi nad moją propozycją.

- To niemożliwe - odparła ze zwieszoną głową, po czym raptownym ruchem wyrwała dłoń z uścisku jego palców i dołączyła: - Przykro mi.

Zabrzmiało to dość nieodwołalnie. Niall po raz pierwszy od początku tej nieoczekiwanej znajomości poczuł, że usuwa mu się grunt spod nóg. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że dziewczyna odznacza się niezwykle silną wolą. Przecież kiedy

spotkał ją w lesie, była zdecydowana iść pieszo do traktu pocztowego, chociaż miała nogę w oplakany stan. I póki nie zemdląca, uparcie odtrącała jego pomoc. Jeśli teraz z takim samym uporem będzie odtrącać oświadczenia, to znaczy, że znalazł się w ciężkich tarapatkach.

Jedynym uczuciem, jakie dotąd znalazł, była niezachwiana wiara w siebie. Lecz odmowa, której udzieliła mu Mairi, mocno tą wiarą zachwiała.

Co gorsza, odmowa ta była błędem. Grubą pomyłką. Niall nie tylko o tym wiedział, ale żywił też głębokie przekonanie, że sama Mairi wie to nie gorzej od niego. Byli sobie przeznaczeni. Przeczynał to, zanim zdążyła mu opowiedzieć o swoich osobistych doświadczeniach z tyfusem. Przeczynał to, odkąd ujrzał jej głowę, wychyloną z dziupli w dębie.

Przeczenie to było kompletnie pozbawione sensu. Nie miało szans się ziścić w jego uładzonym świecie, a jednak mimo wszystko się pojawiło. Natomiast odmowa, z jaką się spotkał, nie rozjuszyła go ani nie obraziła, lecz wprawiła w dziwne odrętwienie.

Właśnie tak: po prostu odrętwienie. Widział, że Mairi jest mocno wzburzona, choć zupełnie nie rozumiał, czemu fakt, że ktoś się jej oświadczył, musi zaraz być powodem do płaczu. Obawiał się jednak, że jeśli będzie próbował nalegać, tylko pogorszy sprawę, bo dziewczyna czuje się osaczona, a i tak już przecież przez znaczną część tego dnia była tropioną zwierzyną.

Wyprostował się więc, nieco się przy tym od niej odsuwając, i rzekł:

- Nie ma rzeczy niemożliwych, Mairi. Przynajmniej dla mnie.

Po czym szybko odszedł, zanim zdążyła mu odpowiedzieć. Był bowiem pewien, że gdyby usłyszał z jej smutnych ust jeszcze choćby jedno słowo, porwałby ją w ramiona i zrobił dokładnie to, o czym marzył, odkąd ujrzał ją po raz pierwszy.

7

Sprawy układały się bynajmniej nie po myśli Mairi.

Choć nie można było wprawdzie powiedzieć, żeby cokolwiek sobie dokładnie zaplanowała. Chciała po prostu możliwie najszybciej opuścić Kilcairn. Kiedy zwichnęła nogę w kostce, wyglądało na to, że będzie musiała obmyślić jakąś nową strategię.

Teraz jednak nie miała większego wyboru: musiała wrócić do pierwotnego pomysłu.

I właśnie dlatego stała tuż przy głównych drzwiach Donnegal Manor i chwiejąc się na jednej nodze, usiłowała podnieść ciężki wrzeciędz, który spuścił na noc ktoś spośród służby. Wydawało jej się dość żałosne, że przebyła taki szmat drogi tylko po to, by w końcu zatrzymał ją kawał drewna.

A chociaż udało jej się zdobyć łaskę do podpierania, poruszała się w zółwym tempie. Ilekroć choćby lekko stąpnęła zwichniętą stopą, całe jej ciało przenikały fale bólu, musiała więc zejść ze schodów, skacząc na jednej nodze. Wydawało jej się, że minęła godzina, nim dotarła na półpiętro. Niebawem miał nadejść świt.

Uroczystość dobiegła końca grubo po północy, bo dzierżawcy

ogromnie lubili świętować. Mairi odprowadzono na piętro, do pokoju gościnnego, który oddano jej do dyspozycji na tę noc. Nakazując sobie cierpliwość, odczekała, aż najbardziej zapóźnieni goście rozejdą się do domów, a ostatni spośród domowników wreszcie udadzą się na spoczynek. Dopiero wtedy wstała z łóżka i rozpoczęła mozolną wędrówkę na dół po schodach. Była kompletnie wyczerpana, zwichnięta noga pulsowała jej niepokojąco, a wokół panował taki mrok, że sięgała wzrokiem zaledwie na pół metra...

Postanowiła jednak, że zanim Donnegal Manor skapie się w pierwszych promieniach brzasku, ona postara się odejść możliwie jak najdalej.

I na pewno by jej się udało, gdyby nie spotkała na swej drodze tych wyjątkowo upartych drzwi...

- Co też pani najlepszego wyprawia? - rozległ się raptem czyjś głos.

Obróciła się na pięcie tak szybko, jak tylko zdołała, stojąc na jednej nodze, i nagle zakłęła w duchu, bo w mroku u podnóża schodów stał ostatni na świecie człowiek, którego w tych okolicznościach pragnęła spotkać.

Popatrzyła na niego ze zgrozą, jakby był powstałym z grobu upiorem.

- Ja... - powiedziała bezkrwistymi wargami. - Przepraszam, ale muszę iść...

- Naprawdę pani musi? - Nie zrobił żadnego ruchu, żeby się do niej zbliżyć, tylko założył ręce na piersi i patrzył na nią jak na aktorkę, która wyłącznie dla jego przyjemności odgrywa zabawną scenkę. - A dokąd to, jeśli łaska?

- Wszystko jedno dokąd - odparła z nieoczekiwaną pasją. - Nie rozumie pan? Wszędzie, byle nie tu. Każda minuta, o którą opóźnia pan moje odejście, zwiększa ryzyko pańskiej... - Urwała nagle, zmieszana.

- Mojego czego? - spytał niefrasobliwie.

Ogarnięta nagłą furią, poczuła w żyłach szybkie, gorące prądy. Mówił przecież takim tonem, jakby z niej się naigrawał. Jak śmiał? Czyżby nie wiedział? Czyżby jeszcze nie odgadł? Wspomnił coś o jej oczach... ale nie o ich dziwnym ubarwieniu, tylko o tym, jaki roznieca się w nich blask, kiedy ona się uśmiecha. O Boże!

- Zwiększa ryzyko pańskiej śmierci - dokończyła ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Lord Niall odniósł się do tego dramatycznego oświadczenia z najwyższą obojętnością.

- Domyślam się, że ma mnie spotkać śmierć z rąk pani narzeczonego - rzekł.

Och, że też musiał się obudzić! Czemu nie spał tak jak reszta domowników? Czemu zszedł na dół akurat teraz, kiedy ona próbowała ucieczki? I czy naprawdę musiał właśnie tak wyglądać? Było bowiem oczywiste, że przed chwilą zerwał się z łóżka, wciągając na siebie tylko spodnie i koszulę, której nawet nie zasznurował pod szyją, lecz zostawił niedbale rozchełstaną aż do pępka, tak że widać było rozłożystą, gęsto owłosioną pierś. Mairi z trudem zmusiła się, żeby spuścić oczy...

Nie mogła mu powiedzieć. Nie mogła wyznać prawdy. Po pierwsze - nie uwierzyłyby, bo przecież sama ledwie wierzyła. A po drugie - przysięgła, że nigdy nie powie.

- A skąd pani wzięła tę łaskę? - spytał uprzejmie, zanim zdołała wykrztusić choćby jeszcze jedno słowo.

Była to kolejna rzecz, której nie mogła wyjawić Niallowi. To Fergus przyniósł jej ten kij. Na chwilę przedtem, zanim odprawiła pokojówkę, której użyczyła jej księżna, nieśmiało zastukał do drzwi i wręczył jej swój wysłużony kostur, gładki od wieloletniego użycia. Szarpiąc się za grzywkę wyjaśnił, że akurat teraz paniencie przyda się ta łaska bardziej niż jemu.

Biedak nawet się nie domyślał, jak szybko Mairi zrobi użytek z tego podarunku. Zapewne wyobrażał sobie po prostu, że z kijem łatwiej jej będzie zejść rano na śniadanie.

- Znalazłam - skłamała. Nie potrafiła stłumić tonu urazy, który zabrzmiał w jej głosie, lecz słysząc go, aż skrzywiła usta. Była bowiem pewna, że Niall źle sobie wytłumaczy ten ton. Pomyśli, że to przeciw niemu skierowana jest jej niechęć, że Mairi ma mu za złe upór, z jakim od początku próbował zatrzymać ją w Donnegal Manor, choć w rzeczywistości sama - tak, dłużej już nie mogła tego przed sobą ukrywać! - oddałaby wszystko, byle tylko móc w tym domu pozostać... gdyby nie obawiała się, że ściągnie w ten sposób na Nialla pewną śmierć. Albowiem był on bez wątpienia najszlachetniejszym, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała...

I właśnie dlatego ją przerażał, dużo bardziej, niż kiedykolwiek zdołał przerazić ją Alistair.

- A więc znalazła go pani - rzekł Niall, przyglądając jej się w półmroku. Światła w holu dawno już pogaszono. Tylko w ogromnym kominku migotały jeszcze płomienie. W ich blasku mężczyzna dostrzegł, że Mairi jest straszliwie czymś zaniepokojona... a przy tym nieprawdopodobnie piękna.

- No właśnie - odparła z butnym wyrazem w niebieskich oczach. - Niby czemu nie miałabym znaleźć? A teraz mnie pan wypuści, jeśli łaska.

- Chyba nie mam innego wyjścia - odrzekł. Ponieważ stał w cieniu, nie sposób było odczytać jego miny. Lecz w jego głosie usłyszała całe mnóstwo rzeczy, między innymi ból, i tym to bólem poczuła się nagle zraniona do żywego. - Zwłaszcza że w przeciwnym razie grozi mi, pani zdaniem, przedwczesna śmierć. Chociaż prawdę powiedziawszy, trochę mi ubliża pani niewiara w to, że umiałbym się obronić w potrzebie.

Pokręciła głową. Postanowiła, że bez względu na śmieszność, jaką być może się przy tym okryje, wyzna mu całą prawdę. Musiała mu powiedzieć o kłątwie, chociaż przysięgła milczenie. Aczkolwiek z góry wiedziała, jak Niall odniesie się do tej rewelacji - miał przecież, bądź co bądź, umysł ścisły - musiała

mu powiedzieć, jak sprawy stoją, żeby nie myślał, iż nie jest nim bez reszty zachwycona.

- To nie ze strony mężczyzny zagraża panu niebezpieczeństwo. - Jej dramatyczny szept rozległ się jak okrzyk, choć w ogromnym holu powinien był rozwiać się bezdźwięcznie. - Powodem jest klątwa.

- Klątwa?- zdziwił się Niall. Gdy lekko obrócił głowę, jego srebrzyste oczy zajęły się blaskiem ognia i jakby same z siebie zapłonęły. Błysnął zębami w uśmiechu. - Czyżby naprawdę była pani wróżką z rodu elfów?

Znow pokręciła głowę. Ogarnęło ją poczucie zupełnej beznadziejności. Bo niby jak miała go przekonać, że w tym rzekomo racjonalnym świecie naprawdę zdarzają się takie zjawiska... Sama chwilami z trudem w to wierzyła, choć w obliczu faktów nie sposób było zaprzeczyć, że ciążyła nad nią klątwa rzeczywiście działa.

No więc mu powie. Musiała mu wreszcie powiedzieć. Alistair zawsze ją przestrzegał, żeby tego nie robiła, bo i tak nikt jej nie uwierzy, a rozgłaszanie rodzinnych sekretów tylko pogarszałoby sprawę, ponieważ klątwa stałaby się tym cięższa...

Ale teraz nie było tu Alistaira. Był natomiast lord Niall i chociaż się uśmiechał, wpatrywał się w nią tymi zranionymi oczami i na pewno uważał ją za kobietę podłą, bez serca. No więc powie mu. Podaruje mu tę prawdę o sobie. Żeby nie myślał, że jej odmowa wynika z obojętności, bo przecież wcale nie był jej obojętny. Właśnie dlatego, że jej na nim zależało, próbowała go... oszczędzić.

- To nie jest przekleństwo elfów - oświadczyła drżącym szeptem. - To klątwa rodzinna. Wiem, że mi pan nie uwierzy. Ale bezsprzecznie tak jest. Fakty mówią same za siebie.

- Fakty? - powtórzył już bez uśmiechu, ze zmarszczonym czołem. - Do czego pani...

- Owszem, brzmi to jak bajki i kiedy tylko dostatecznie

podrosłam, sama uznałam, że to wierutne brednie... A jednak rzeczywiście wygląda na to, że śmierć zabiera każdego, kto się do mnie zbliży. Najpierw zabrała moich rodziców: oboje umarli, zanim skończyłam dziewięć lat. Potem ciotkę, matkę mojego obecnego opiekuna, u której zamieszkałam, kiedy zostałam sierotą. Potem, jak już panu mówiłam, poumieraly koleżanki ze szkoły klasztornej i zakonnice. A ostatnio pański ojciec...

Niall nie potrafił się już dłużej hamować. Kiedy po raz pierwszy ujrzał ją w panującym przy drzwiach półmroku, nie był pewien, czy wzrok go nie myli. Ale nie, to naprawdę była ona - ta sama kobieta, z powodu której dręczyła go tak okropna bezsenność, że w końcu wstał z łóżka i postanowił zejść na dół w poszukiwaniu whisky. Znowu miała na sobie pelisę i czepek, pod którym ukryła nieposkromioną burzę włosów. Podpierając się tęgim kosturem, stała na jednej nodze, w chwiejnej równowadze, trzymając w powietrzu poturbowaną stopę, na którą co prawda wciągnęła but, lecz już nie zdołała go zasznurować.

Mairi. Jego Mairi. Najwyraźniej sposobila się do ucieczki.

W dodatku - jak gdyby to samo w sobie był dla niego zbyt łatwy orzech do zgryzienia - opowiedziała mu tę bajdę o klątwie. To już był szczyt. Chociaż Niall zdążył w życiu nasłuchać się wielu niestworzonych bredni, ta ostatnia przewyższała je wszystkie. Nie wątpił jednak, że dziewczyna szczerze w nią wierzy: widać było, że to wyznanie wiele ją kosztowało i sprawiło jej autentyczny ból. Oczy Mairi zamieniły się w mroczne jeziora melancholii, a cały jej tupet gdzieś się ulotnił. Niall zastanawiał się, kto i w jakim celu wbił jej do głowy to absurdalne łgarstwo. Ktokolwiek jednak to był, musiał widocznie wcześniej zacząć, w przeciwnym bowiem razie nie byłyby aż tak głęboko przeświadczona o tym, że historia o klątwie to szczerza prawda, a nie zabobon.

Stwierdził w duchu, że obojgu im potrzebna jest końska dawka rzeczywistości.

- Zakonnice i pani koleżanki poumieraly na tyfus - rzekł zwięźle. - Sama mi pani to powiedziała. A mój ojciec zmarł na podagrę. Nie mam pojęcia, na co umarli pani rodzice i ciotka, ale nie wątpię, że również i w ich przypadku śmierć nastąpiła z jak najbardziej naturalnych powodów. Jestem zresztą mocno zaskoczony, że akurat pani, osoba, wydawałoby się, dość inteligentna, potrafi uwierzyć w taką bzdurę, jak klątwa rodzinna. - Szeroko rozkładając ręce, zapytał: - Na miłość boską, Mairi! Czy to właśnie z powodu tej rzekomej klątwy nie chce pani za mnie wyjść?

W jej oczach lśniły łzy, kiedy odparta:

- Owszem, przyznaję, że z punktu widzenia sfery idei, która zapewnia ład i porządek światu poddanemu ciągłym przemianom, ta klątwa wydaje się sprzeczna z wszelkim platońskim rozumem. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że dokądkolwiek pójdę, w ślad za mną podąża czyjaś śmierć. I pan także się na nią naraża, jeśli pan nie posłucha...

Niall odpowiedział słowem, od którego zwiędłyby jej uszy, gdyby go usłyszała. Wymówił je jednak przez zaciśnięte zęby, co zmieniło jego brzmienie nie do poznania. W ułamku sekundy podszedł do dziewczyny, wsunął ręce pod jej pelisę i obejmując smukłą kibić, szorstkim ruchem przyciągnął ją do siebie.

Była tak zdumiona, że wypuściła laskę Fergusa. Kij z łoskotem upadł na podłogę.

- Wasza lordowska wysokość - powiedziała, unosząc obie ręce, jakby go chciała odepchnąć, lecz zaraz się wzdrygnęła, dotknąwszy jego ciepłych mięśni, twardych jak mur.

Był to doprawdy nadzwyczaj niepokojący obrót zdarzeń - niemal równie niepokojący jak ta chwila, gdy ocknęła się z omdlenia i stwierdziła, że spoczywa w jego ramionach. Ale

wtedy uważała, że miał prawo tak się do niej zbliżyć, bo przecież chciał pomóc.

Teraz jednak ani trochę nie potrzebowała pomocy lekarza.

- Naprawdę - szepnęła. - Nie powinien pan. Nie słyszał pan, co powiedziałam?

- O klątwie? - spytał, a jego wilcze oczy nabrały tego szczególnie srebrzystego odcienia, który tak ją wyprowadzał z równowagi. - Ależ tak, słyszałem.

- No to musi pan wiedzieć... musi pan wiedzieć, że to, co pan robi, jest...

Nic więcej powiedzieć nie zdołała. Zanadto była rozkojarzona. Z uczuciem bliskim paniki stwierdziła, że mężczyzna pachnie świeżo wyprasowaną bielizną. Och, czemu musiał mieć akurat ten zapach, jeden z jej ulubionych? A to pulsowanie, które wyczuwała koniuszkami palców... Czy to było bicie jego serca? Musiał widocznie mieć ogromne serce, skoro łomotało tak mocno, tak prędko tuż pod jej dłonią. Pędziło nieomal równie szybko, jak jej serce...

Czy naprawdę musiał być taki ciepły i tak miło pachnieć? Bez trudu zdołałaby go odepchnąć, gdyby nie ten zapach. Była zaś pewna, że odtrącić go trzeba, bo od dziewcząt ze szkoły klasztornej niemało się nasłuchiwała o takich ludziach jak on: o mężczyznach, którzy próbowali je całować. Choć prawdę rzekłszy, nie bardzo rozumiała, co złego byłoby w tym, żeby po prostu pozwolić mu na pocałunek, skoro usta miał takie kształtne...

- ...niemądre? - dokończył za nią. Na jego wargach pojawił się uśmiech, chociaż w szczęce drgał napięty mięsień, a oczy wciąż jarzyły się nieznośnym blaskiem.

- Straszliwie niemądre - wymamrotała. Niall delikatnie sunął kciukiem po jej plecach. Rozpraszało ją to jeszcze bardziej niż jego zapach i niewiele mniej niż te kształtne usta, które zawisły zaledwie kilkanaście centymetrów nad jej war-

gami. - Jest mocno prawdopodobne, że ta cała historia skończy się pańską śmiercią.

- A czy nie przyszło pani na myśl, że z mojego punktu widzenia mogłoby się to opłacić? - spytał.

Jego wilcze spojrzenie przeniosło się z jej oczu na usta. Ojej! - pomyślała. - Zaraz mnie pocałuje. Naprawdę powinienam... Muszę...

Powstrzymać go.

Lecz gdy w końcu dotknął wargami jej ust, a jednocześnie wykonał rękami jakiś taki ruch, że jej ramiona oplóły jego szyję, nie mogła się na to zdobyć, żeby go powstrzymać... Nie mogła, nie chciała.

Poczuła natomiast coś, o czym nigdy nie wspominały szkolne koleżanki; coś, co należało zapewne złożyć na karb nieszczęsnego rodowodu: krwi elfów, która płynęła w jej żyłach.

Ogarnęło ją mianowicie przemożne pragnienie, żeby odzajemnić pocałunek.

Wiedziała, że źle robi. Wiedziała, że cokolwiek by powiedział, nie wolno go całować - nie tylko dlatego, że w ten sposób ściągnęłyby na niego pewną śmierć, lecz i z tego powodu, że dobrze wychowane panienki nie pozwalają, żeby spotkani zaledwie przed paroma godzinami mężczyźni chwyтали je w objęcia i całowali.

Ale jakże cudownie było się całować! Czemu nikt jej nigdy nie powiedział, że to takie rozkoszne? Mairi była dotychczas zagorzałą przeciwniczką pocałunków, choć nie należy zapominać, że, jak dotąd, nie próbował jej pocałować nikt prócz Alistaira, a jego pocałunek nie miał dla niej ani odrobiny powabu.

Za to pocałunki lorda Nialla były absolutnie urocze. Zwłaszcza kiedy zorientował się, że dziewczyna nie zamierza się wzbraniać, i zaczął całować jeszcze mocniej. Spowiła ją woń jego świeżo wyprasowanej koszuli. Jedną ręką zsunął jej

z głowy czepek, ale zrobił to tak delikatnie, jakby się bał, że Mairi rozsypie się pod jego dotykiem.

A może wcale się nie bał, bo już po sekundzie zagłębił tę samą dłoń w jej włosy i zaczął całować mocno, bardzo mocno. Jego język dobijał się do jej zamkniętych ust, jakby się dopytywał, czy może wejść.

A chociaż była pewna, że jeśli nie odmówi temu językowi wstępu, podpisze tym samym wyrok śmierci na lorda Nialla, nie umiała zdobyć się na to, żeby go powstrzymać. Gdy zaś wreszcie z bezradnym westchnieniem rozchyliła przed nim wargi, mężczyzną wstrząsnęła istna eksplozja namiętności - jak gdyby cichy pomruk, którym Mairi wyraziła uznanie dla sposobu, w jaki ją całował, był zachętą do całkiem innych czynów... A przecież nic takiego nawet w głowie jej nie powstało!

Ale nie miała nic przeciwko temu, żeby całował ją po szyi i po karku, a potem schylił głowę i z cichym jękiem złożył usta ni mniej, ni więcej, tylko na jej dekolcie. Gdy zaś w ślad za ustami podążyła jego dłoń...

8

Gdy zaś w ślad za ustami podążyła jego dłoń, wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Mairi chwyciła lorda Nialla za zuchwałą rękę, która zamierzała popełnić coś, czego matka przełożona z całą pewnością by nie pochwaliła. On podniósł głowę i chyba zrozumiał, że się zagalopował. Właśnie chciał coś powiedzieć, kiedy psy, leżące dotychczas bezładną kupą przed kominkiem, w którym dogasał ogień, poruszyły się i nagle jak jeden poderwały się z miejsc, po czym zaczęły ujadać tak głośno, że musiały chyba obudzić wszystkich domowników.

Spłoszona Mairi próbowała wyrwać się Mailowi w obawie, że ktoś nadejdzie i zastanie ich w tej poufalej sytuacji. Lecz on nie wypuścił jej, tylko obrócił głowę i rzucił psom szorstką komendę:

- Leżeć!

Ale zwierzęta, nie przestając szczekać, sunęły ku drzwiom wejściowym.

Już po chwili stało się jasne, co je tak zaniepokoiło, ktoś bowiem zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi.

Mairi pobladła w objęciach Nialla.

- Och, proszę nie otwierać! Pod żadnym pozorem proszę nie otwierać!

- Muszę otworzyć, bo inaczej cały dom się zbudzi - szepnął, trzymając usta we włosach dziewczyny, które spływały swobodną kaskadą loków, kiedy jego błędzące palce zburzyły jej fryzurę. Sam nie bardzo rozumiał, jak mu się udało przeżyć tyle lat i nigdy nie poczuć tego co w tej chwili... Nie pamiętał bowiem, żeby kiedykolwiek przedtem miał tak wyraźną świadomość, że żyje. Wszystkie nerwy w jego ciele jak gdyby szumiały, roziskrzzone podnieceniem. To, że trzyma w ramionach tę smukłą dziewczynę i czuje ciepło jej skóry, wydawało się najbardziej naturalną, a zarazem najdonioślejszą ze wszystkich rzeczy, jakie mu się przydarzyły. Postanowił nie wypuścić jej z rąk. Bez względu na konsekwencje.

Łomotanie do drzwi brzmiało coraz bardziej władczo.

- Proszę tego nie robić - błagalnym tonem rzekła Mairi.

- Wyłamię drzwi, jeżeli mu nie otworzę ~ powiedział Niall, po czym dodał z krzywym uśmiechem: - Domyślam się, że to ten mityczny narzeczony?

- Proszę nie otwierać - powtórzyła z naciskiem.

Lecz on parsknął śmiechem i śmiało chwyciwszy dziewczynę poniżej biodra, ni to zaniósł, ni to zaprowadził ją do ciemnego kąta tuż za drzwiami, gdzie stała stara zbroja, którą Henry Donnegal nabył wraz z całym domem, ale rad wmawiał gościom, że to rodzinna spuścizna.

- Zaczekaj tu - rzekł, mocno całując Mairi w czoło. - Już ja z nim porozmawiam.

Właśnie miał się odsunąć, gdy chwyciła go za obie ręce.

- Niall...

Słyszając własne imię, padające z jej ust, o mało się nie odwrócił, żeby porwać ją w ramiona. Lecz nieustanne łomotanie w drzwi przywołało go do rzeczywistości. Dla dodania otuchy lekko ścisnął jej szczupłe, chłodne palce i wnet je puścił.

Utorował sobie drogę wśród psów i podszedł do drzwi, w duchu przeklinając tego, kto za nimi stał. Jeśli to właśnie przed tym nieznanym uciekała Mairi, to i dobrze. Lepiej od razu z nim się rozprawić, niż zostawiać rzecz na później.

Ale jeżeli to ktoś inny tak bezpardonowo się dobijał w tym najświętszym spośród wszystkich dni, zakłócając chwilę największej błogości, jakiej Niall zaznał w życiu, to powinien się mieć na baczności.

Lecz gdy odsunął wrzeciędz i ujrzał za progiem rudowłosego mężczyznę, którego od dzieciństwa znał i szczerze nienawdził, wywietrzała mu z głowy cała porywczosć. Znieruchomiał i tylko bezmyślnie wpatrywał się w przybysza.

- Sutherland? - powiedział, przenosząc spojrzenie z intruza, który o dobre pół głowy górował nad nim wzrostem i musiał być o jakieś dwadzieścia pięć kilo cięższy, na stojącego za swym panem karego ogiera. Koniowi buchały z granatowych, ociekających śliną nozdrzy białe obłoki pary. Nialla bynajmniej nie zdziwił ten widok. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że Sutherland zajeżdża konie.

- Co tu robisz w samym środku nocy? - zapytał. - Spiełeś się czy co, u diabła? Wracaj do domu, człowieku.

Lecz gdy spróbował zatrzaskać drzwi, hrabia Sutherland wetknął w szparę czubek buta do konnej jazdy.

- Nie bądź taki prędki, Donnegal - warknął. Wyciągnął rękę i pchnął drzwi, otwierając je na tyle szeroko, żeby mogły się w nich zmieścić jego rozłożyste bary.

Niall cofnął się o krok, zaskoczony tym nagłym wtargnięciem. Przybysz omiótł chłodnym spojrzeniem szarych oczu najpierw sforę psów, które przestały ujadać i już tylko machały ogonami, a potem hol.

- Nie jesteś tu mile widziany, Sutherland - powiedział Niall tonem zimnym jak wiatr wdzierający się przez otwarte drzwi.

Nieproszony gość z szyderczą miną zadarł głowę i spytał:

- Czyżby? A kto mnie stąd wyrzuci? Może ty?

- Jeśli zajdzie potrzeba - chłodno odrzekł Niall.

- Chciałbym to zobaczyć. - Sutherland wolno ściągał rękawice z czarnej skóry. - Słyszałem o tobie to i owo. Podobno wyjechałeś na studia. Zaraz, zaraz, cóż to takiego studiowałeś? Ach, racja: medycynę. Jakoś nigdy nie słyszałem o medyku, który umiałby posłużyć się ostrym narzędziem.

- Pamiętaj, że między innymi uczą nas puszczania krwi - zwrócił mu uwagę Niall, unosząc czarną brew.

Dobrze pamiętał, że Alistair MacLean, hrabia Sutherland, nie jest najbystrzejszym z ludzi, jacy kiedykolwiek zaszczytili ziemię swoją obecnością, chociaż nie można mu było odmówić swoiście zwierzęcego sprytu, dzięki któremu wznosił się chwilami na wyżyny autentycznego geniuszu. Odnaczał się też konsekwentną złośliwością. Już w dzieciństwie pochłonięty był głównie rozmyślaniami, jak by tu dokuczyć Niallowi i Euanowi, ci bowiem często natykali się na niego podczas swoich chłopięcych włóczęg. Wyglądało na to, że niewiele się pod tym względem zmienił, chociaż zdążył tymczasem odziedziczyć po ojcu tytuł hrabiego Sutherland.

- Miałem na myśli inny sposób jej rozlewania - z wyraźną irytacją odpowiedział Niallowi. Zdjąwszy wreszcie skórzane rękawice, niecierpliwie trzepnął się nimi po udzie. - No, gadaj - zażądał. - Gdzie ona jest?

Niall dopiero wtedy zrozumiał, czemu Alistair MacLean bez zaproszenia zjawiał się w Donnegal Manor - w domu, w którym nigdy jeszcze nie postąpiła jego stopa, chociaż mieszkał w odległości zaledwie kilometra.

Hrabia Sutherland był narzeczonym Mairi.

Niall poczuł się nagle tak, jakby w jego czaszce nastąpiła jakaś eksplozja, z której nie ocalało ani jedno naczynko krwionośne. Choć niby wiedział, że z medycznego punktu widzenia zjawisko takie jest niemożliwe, tak właśnie się czuł.

Alistair MacLean, hrabia Sutherland, był narzeczonym Mairi. Jego Mairi była zaręczona z Alistairem MacLeanem i miała go poślubić.

- No więc? - rzekł Sutherland, nie przestając trzepać się rękawicami po udzie. Nie robił przy tym jednak zbyt wiele hałasu, ponieważ mimo mrozu miał na sobie kilt z wełny w złoto-szkarłatną kratę, w którego fałdach milkł odgłos uderzeń skórzanych rękawic.

Niall złapał się na tym, że zastanawia się, czy aby jego lordowskiej wysokości nie zmarły kolana podczas jazdy przez mroźny las. Złożył to na karb domniemanego wylewu krwi do mózgu, którego chyba rzeczywiście musiał jednak tymczasem doznać, był bowiem pewien, że bez takiego fizjologicznego kataklizmu nigdy nie nasunęłoby mu się podobne pytanie.

- Tylko nie próbuj mi wmawiać, że jej tu nie ma - ciągnął Sutherland. - Jeden z dzierzawców twojego brata powiedział mi, że wczoraj wieczorem wydaliście przyjęcie z okazji Gwiazdki. Nawiasem mówiąc, wasz ojciec z pewnością przewraca się w grobie z powodu tej wczorajszej fety, albo nie nazywam się MacLean. Wśród gości była podobno młoda Cyganka...

Niall dopiero teraz poczuł, że jest mu zimno. Wiatr przenikał przez cienką tkaninę koszuli. Obnażona pierś była zimna jak lód. Mocno popchnął drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem, odcinając dostęp wyjącej wichurze.

W holu nagle zrobiło się dużo ciszej. Słychać było tylko trzask ognia w kominku i ciężkie ziajanie psów.

- I co z tego? - spytał Niall zwodniczo spokojnym tonem. - Jeśli mam ochotę podejmować u siebie Cyganów, to chyba moja prywatna sprawa, może nie?

Hrabia wzruszył potężnymi ramionami.

- No jasne - przytaknął. - Ale z rysopisu wynika, że ta rzekoma Cyganka jest bardzo podobna do mojej podopiecznej, która właśnie...

- Alistair.

W rozległym holu ten cichy głos rozległ się dziwnie donośnym echem. Niall zaklął w duchu. Czemu nie milczała, czemu go nie posłuchała? Czemu nie potrafiła spełnić tak nieskomplikowanej prośby? Takie nowoczesne młode damy jak ona domagały się emancypacji, no i bardzo pięknie. Zapominały tylko, że przedstawiciele płci przeciwnej, z którą pragnęły zrównać się w prawach, chodzą zazwyczaj całkiem niezłe uzbrojeni, czego dowodem mogła być, na przykład, dłoń hrabiego, którą oparł niedbałym gestem na rękojeści rapiera.

Sutherland zrobił lekki zwrot w miejscu i ponad ramieniem Nialla spojrział w mrok, z którego dobiegł przed chwilą głos Mairi.

- A, jesteś-powiedział. -No to wylaż. Dość już tych bzdur.

- Nie ruszaj się z miejsca, Mairi - rzekł Niall.

- Muszę - odparła. Mimo bólu w stopie zrobiła krok naprzód, wchodząc w krąg światła padającego z kominka. Następnie znieruchomiała, patrząc na Sutherlanda oczami, których wyraz w półmroku pozostawał nieczytelny. - On cię zabije pod byle pretekstem.

Sutherland był chyba dość zadowolony z tej oceny swojego charakteru, bo zachichotał.

- A więc jednak mówiłaś serio, że prędzej umrzesz, niż wyjdiesz za mnie. No bo rzeczywiście, zdać się na łaskę tego tutaj lalusia to właściwie samobójstwo, nie sądzisz, Mairi? - Spojrzawszy zezem na jej stopę, zapytał: - Kto cię tak urządził?

- Powinieneś chyba wiedzieć - odparła. - Przecież to ty puściłeś za mną psy.

Sutherland zrobił zdziwioną minę.

- Czyli jednak cię wytropiły? I pozwoliły ci uciec? Chyba każe wystrzelać te kundle. - Zaczął metodycznie wkładać z powrotem rękawice. - Nie wiem, Niall, czego ci naopowiadała Mairi, ale powinieneś zdawać sobie sprawę, że jestem jej

kuzynem i prawnym opiekunem, więc lepiej na nic się pochopnie nie porywaj. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. - Chociaż, owszem, miło byłoby mieć powód po temu, żeby złoić ci skórę, tak jak dawniej nieraz się to zdarzało. Moja podopieczna i ja będziemy już się z tobą żegnać. Przekaż bratu wyrazy uszanowania. Powiedz mu - dodał, rzucając drwiące spojrzenie w stronę gwiazdkowej choinki - że podobają mi się zmiany, które tu wprowadził.

Niall dał krok naprzód i znalazł się dokładnie między hrabią a jego podopieczną.

- Idź, jeśli chcesz - oświadczył spokojnym tonem. - Ale nie zabierzesz jej ze sobą.

Sutherland przestał wciągać rękawicę i uniósł prawą brew, co nadało jego twarzy pytający wyraz.

- Lordzie Niall, błagam pana - rzekła Mairi drżącym głosem. - Okazał mi pan wiele dobroci, ale sam pan słyszał, co powiedział mój kuzyn. Nie chcę, żeby spotkała pana krzywda.

- No widzisz, Niall - przyjaźnie powiedział Sutherland. - Lepiej posłuchaj damy. Nie chcesz chyba, żeby stało ci się coś złego w te twoje leczące paluszki, prawda? Z czego byś potem żył?

Niall ani drgnął.

- Dziewczyna tu zostanie - oświadczył.

~ Niall! - zawołała Mairi, a w jej głosie słychać było całą trwogę, którą dotychczas skutecznie tłumiała. - Jesteś szalony! Nie masz pojęcia...

Niall zignorował ją i z rękami założonymi na piersi, prażąc hrabiego wściekłym spojrzeniem, powiedział:

- Jeśli chcesz ją zabrać, będziesz musiał, niestety, usunąć ze swojej drogi tego, jak go nazywasz, lalusia.

Sutherland westchnął.

- To już naprawdę szczyt wszystkiego. Chyba za dużo wypiliśmy gwiazdkowego ponczu, Donnegal. Przecież wiesz, że jej

wam nie oddam, tak samo jak nie postawię u siebie w domu takiego głupiego krzaka jak ten, który stoi u was.

- A jednak dziewczyna tu zostanie - odrzekł Niall.

- Wykluczone! - Sutherland pokręcił głową, nie wierząc własnym uszom. - Czyżbyś nie wiedział, kim ona jest? Pochodzi z rodu MacLeanów. To nikt inny, tylko lady Katriona Mairi Berthollet, córka rodzonej siostry mojego ojca i jej męża, diuka de Begnac. Kiedy po ich nieszczęsnym wypadku na łódce została sierotą, najpierw trafiła pod opiekę mojej matki, a gdy ona umarła, ja przejąłem obowiązki opiekuna Mairi. A jeżeli ci się wydaje, że zostawię ją w rękach kogoś takiego jak ty, to lepiej jeszcze raz to przemyśl. Prędzej wydałbym ją za szympana niż za podobnego tobie farbowanego arystokratę.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, sam chcesz się z nią ożenić - rzekł Niall.

Ton jego głosu musiał widocznie zdradzić, jakie uczucia żywi do swojej gwiazdkowej branki, bo na twarz hrabiego z wolna wypełził jadowity uśmiech, który ledwie skrywały bujne rude włosy.

- No i coś ty narobiła, Mairi? - spytał i po raz kolejny zaczął ściągać skórzane rękawice. - Widzę, że zyskałaś jeszcze jednego wielbiciela. I wygląda na to, że obiecałaś mu wzajemność. A fe! Powinnaś była przecież wiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie. - Pokręcił głową. - Będziesz musiał jej wybaczyć, Niall. Od małości była rozhukana i dzika. Zawsze podejrzewaliśmy, że podrzuciły ją elfy.

- Tak, tak - odparł Niall. - Znam całą tę bajkę o kłątwie.

- Ach, kłątwa. - Sutherland uśmiechnął się jeszcze szerzej. - A więc i o niej ci opowiedziała? Tragiczna historia, prawda? Żeby taka piękna dziewczyna wywierała taki zabójczy wpływ.

- Ale ciebie jakoś to nie zniechęca do zabiegania o jej... względy.

- Rzeczywiście. - Hrabia cisnął rękawice na stojące nie-

opodal krzesło, po czym efektownym ruchem dobył rapiera. - Bo widzisz, nie wiedzieć czemu, jestem odporny na działanie tej nieszczęsnej klątwy, której brzemień dźwiga Mairi. - No pewnie! - rzekł Niall. - Skoro sam ją zmyśliłeś.

- No, nie, to już zakrawa na zwykłe oszczerstwo. - Sutherland znowu pokręcił głową. - Ale mały Niall zawsze był podejrzliwy. A chociaż tymczasem dorósł, widzę, że ani trochę się nie zmienił. - Uśmiech jeszcze szerzej rozciągnął mu wargi. - I po dawnemu jest nieprzygotowany do walki. Ale nic się nie bój, Mairi. Tylko go wyplązuję. Co ty na to?

- Alistair, ani się waż zaatakować bezbronного człowieka! To przecież niegodne!

Sutherland uniósł krzaczaste rude brwi.

- Największym moim błędem było to, że pozwoliłem jej zdobyć wykształcenie - rzekł, zwracając się do Nialla.

I natychmiast potem zaatakował.

Niall rzeczywiście nie był uzbrojony, miał więc prawo zdrzeć co nieco w obliczu tak bezpardonowej napaści. Ponieważ jednak nie czuł nic prócz szalonej furii, która oślepiła go i głuszyła w nim wszelkie inne emocje, chętnie podjął wyzwanie. Niejeden raz w życiu wyobrażał sobie, jak miło byłoby wbić pięść w twarz Alistaira MacLeana, gdy zatem nadarzyła się sposobność, ani trochę się nie wahał...

Póki hrabia, rozwścieczony łatwością, z jaką przeciwnik robił uniki przed ostrzem rapiera, nie obrócił rękojeści i nie wymierzył nader energicznego ciosu prosto w jego serce.

W ogromnym holu krzyk Mairi rozległ się tak donośnym echem, że psy, które zdążyły tymczasem znowu ułożyć się przed kominkiem, zerwały się.

Niall uratował się przed śmiertelnościami pchnięciem w ten sposób, że chwycił krzesło i osłonił nim pierś, toteż czubek ostrza, zamiast w jego serce wbił się w oko ptaka, wyhaftowanego na oparciu.

- Domyślam się, że jeśli mnie zabijesz, będziesz przytaczał ten fakt jako potwierdzenie prawdziwości tej twojej bujdy o klątwie, która rzekomo ciąży na Mairi - rzekł niefrasobliwym tonem.

Sutherland wściekłym szarpnięciem wyrwał koniec rapiera z krzesła i zatoczył się w tył, unikając dzięki temu ciosu pięścią, którą Niall wzięwszy tęgi zamach, o mało nie ugodził go w twarz.

- To nie żadna bujda - obruszył się hrabia. - Stara rodzinna klątwa, rzetelna i prawdziwa.

- Aha - odparł Niall, na którym ta deklaracja nie zrobiła większego wrażenia. - Podobno.

- Każdego, do kogo ta dziewczka się zbliży, spotyka rychły koniec. Na twoim miejscu, Donnegal, zastanowiłbym się nad tym.

- Jakoś wcale mnie to nie niepokoi. Może się zdziwisz, ale nie wierzę w klątwy. Wśród osób wykształconych takie niedowiarstwo jest zjawiskiem dość powszechnym.

- Tym gorzej dla ciebie. - Sutherland wywinął w powietrzu rapierem, ale jego przeciwnik miał już dość tej zabawy, chwycił więc hrabiego za obie ręce, w których trzymał broń, i przyciągnął go do siebie. Stali w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów, zajądło się mocując.

- Wiesz, co naprawdę myślę o tej twojej klątwie? - rzekł Niall niedbałym tonem, choć przez zaciśnięte zęby. - Podejrzewam, że kiedy rodzice Mairi utonęli, a ona zamieszkała z tobą i twoją matką, postanowiłeś zawładnąć możliwie największą częścią jej majątku. Bo chyba się nie mylę, Mairi, że to i owo ci zostało w spadku po rodzicach?

- Dwadzieścia tysięcy funtów - dobiegł z ciemności głos dziewczyny. - Może byście wreszcie przzerwali tę idiotyczną szamotaninę? Niall, ja naprawdę chcę z nim odejść, z własnej woli.

- Nie, wcale nie chcesz. Dwadzieścia tysięcy funtów to spora suma. Prawda, Sutherland? Pewnie aż cię ręce świerbiły, żeby czym prędzej dorwać się do tych pieniędzy. Ile miała lat, kiedy postanowiłeś ożenić się z nią, gdy tylko dorosnie? Dziewięć? Dziesięć?

- Zabiję cię, Donnegal! - syknął Alistair MacLean z tak bliska, że śliną opryskał Niallowi podbródek.

- O, nie wątpię, że będziesz próbował. Ale daj mi skończyć. Przypuszczam, że Mairi jako dziewięcioletnia dziewczynka miała mniej więcej taką samą ochotę za ciebie wyjść, jaką ma teraz. Czyli raczej niewielką. Przestraszyłeś się, prawda? Złękłeś się, że ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa. No więc wymyśliłeś kłutwę. Wyobrażam sobie, że w uszach dziesięciolatki ta twoja bajeczka brzmiała całkiem przekonująco. I tak ją to okaleczyło, że choćby dzisiaj wzbraniała się przejść przez próg naszego domu, bo się bała, że ściągnie na nas nieszczęście...

Sutherland zebrał się nagle w sobie i zdołał odepchnąć Nialla. Stojąc z wysoko uniesionym rapierem, oświadczył:

- Spotka cię za to śmierć, Donnegal!

- Owszem. Tak samo jak spotkała zakonnicę i szkolną koleżankę, a nawet mojego ojca. Ta epidemia tyfusu to była istna woda na twój młyn. A potem podagra, na którą zapadł mój ojciec. Ale dziś twoja gierka dobiega końca.

Hrabia natarł na niego z takim rykiem, że aż psy zawarczały.

Niall zdawał sobie oczywiście sprawę, że go prowokuje, ale nie doceniał pasji przeciwnika. Tym razem nie miał pod ręką krzesła, którym mógłby się zasłonić, a Sutherland nacierał z takim impetem, jakby wstąpiła w niego furia wszystkich przodków. MacLeanowie zaś cieszyli się opinią groźnych wojowników, którzy w dodatku nie przebiegali w środkach.

Niall przygotował się do odparcia ataku...

Wtem coś z metalicznym brzękiem potoczyło się po podłodze.

Spojrzał w dół. U jego stóp leżał staroświecki zardzewiały miecz, należący do pancerza, który stał w kącie za drzwiami.

Jednym szybkim ruchem schylił się i podniósł z ziemi broń, którą rzuciła mu Mairi. Zdążył się zasłonić w ostatniej chwili, zanim rapier hrabiego spadł na jego głowę.

Alistair MacLean uderzył z taką siłą, że miecz przeciwnika pękł na pół. Niall ścisnął rękojeść i wymachując szczerbatym ułomkiem jął się osłaniać przed kolejnymi atakami.

- Wiesz, Sutherland, gdzie popełniłeś błąd, kiedy układałeś swój plan? - spytał, ostrożnie krążąc wokół rywala.

- Wiem - odparł zapytany, szczerząc zęby w szyderyczym uśmiechu. - Trzeba było cię zabić dawno temu, póki obaj byliśmy mali.

- Nie to miałem na myśli. Po prostu niepotrzebnie tak tę całą historię skomplikowałeś. Miałeś nadzieję utrzymać Mairi w swojej mocy, wmawiając jej, że jeśli cię opuści, każdy, z kim się połączy, zginie z powodu ciężącej nad nią kłutwy.

- I jak dotąd - Sutherland zarechotał - rzeczywiście zabija. Ciebie też zabije, tylko przestań się tak kręcić.

- W twoim rozumowaniu tkwi pewne niedociągnięcie logiczne - poinformował go Niall. - A mianowicie: wszyscy ci ludzie, o których mówisz, zginęli bynajmniej nie od kłutwy, lecz z powodu nieszczęśliwych wypadków i chorób. Kłania się brzytwa Occama, mój drogi. Brzytwa Occama.

Hrabia, nieco już zmęczony, dyszał równie głośno, jak psy.

- O czym ty, do diabła, gadasz? Co tu ma do rzeczy jakaś tam brzytwa?

- Wstydiłbyś się - odparł Niall. - Tylko mi nie mów, że nie wiesz, kim był Occam. Mairi, może byś oświeciła jego lordowską mość?

- William z Occamu - po chwili wahania dobiegł z ciemności głos dziewczyny. - Urodzony w roku tysiąc dwieście osiemdziesiątym piątym. Filozof scholastyk, który negował

powszechnie uznane pojęcia, odmawiając im wszelkiej realności. Odlóżcie wreszcie te miecze, zanim...

- No widzisz, Alistair - podjął Niall. - William z Occamu. Wydaje mi się, że w jego ujęciu twój problem staje się całkiem jasny. „Próżne jest mnożenie bytów tam, gdzie da się poprzestać na mniejszej ich liczbie”. Tak właśnie brzmi jego najslynniejszy aksjomat, znany jako owa sławetna brzytwa.

- Sam bym chętnie przeciagnał brzytwą, niekoniecznie sławetną - warknął Sutherland. - Po twojej nędznej grdyce.

- Tu nie o takiej brzytwie mowa, chociaż owszem, doceniam twój dowcip. Sens aksjomatu jest taki, że gdy mamy do wyboru kilka wyjaśnień, najprostsze z nich zapewne okaże się zarazem najbliższe prawdy. W przypadku Mairi znaczy to, że nigdy nie było żadnej klątwy. Jak sądzisz, MacLean?

Hrabia wyszczerzył zęby. To niesamowite, jak bardzo przypominał w owej chwili rozjuszonego psa. W ułamku sekundy rzucił się na przeciwnika.

Tym razem zdołał go zaskoczyć, bo ten akurat spojrział na Mairi. Dziewczyna pokuśtykała z powrotem w krąg wątego światła, które rzucił ogień, z wolna zamierający w kominku, i patrzyła na Nialla zamglonymi z podziwu oczami. Oto bowiem ktoś nareszcie ujął w słowach pewną prawdę, którą od dawna już przeczuwała, lecz nie potrafiła wyraźnie sobie powiedzieć, gdyż powstrzymywały ją przed tym dziecięce przesady.

Ale przez tę jej wdzięczność o mało nie postradał życia, bo gdy pławił się w blasku jej zachwyconego spojrzenia, nie wiedzieć skąd, pojawiła się klinga rapiera i wytrąciła mu z ręki ułomek starodawnego miecza, który przeleciał w powietrzu przez cały hol i z głośnym brzękiem upadł na posadzkę wśród psów.

Bezbronny Niall zwrócił się w stronę wroga.

Alistair MacLean wyszczerzył zęby w uśmiechu.

~ A teraz pocuj, jak smakuje moja brzytewka. Tak naprawdę - dodał, unosząc rapier nad głową - jedyny dobry Donnegal to...

Ale nie zdołał dokończyć zdania. Widząc, że Niall znowu stracił broń i znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, Mairi schyliła się i podniosła z podłogi pierwszy przedmiot, jaki nawinął jej się pod rękę. Traf chciał, że była to laska Fergusa. Dziewczyna szybko rzuciła kostur Mailowi, a ten złapał go w locie i bez chwili namysłu z całej siły cisnął nim prosto w głowę Alistaira MacLeana.

Kij uderzył w czaszkę hrabiego Sutherland, gdy ten właśnie zamierzał zadać śmiercionośny sztych. Odziedziczona po wojowniczych przodkach broń wyslizgnęła mu się z ręki, a w ślad za nią jej właściciel runął na kamienną posadzkę. Jego potężne ciało narobiło przy tym niewiele mniej hałasu niż spadający rapier.

No, no! - rozległ się znajomy głos. - Niezłe się spisałeś!

Niall obrócił się na pięcie i zobaczył brata. Euan stał na schodach, ubrany w szlafrok; towarzyszyła mu podobnie odziana małżonka i kilkoro służących, którzy trzymali świece i porozumiewali się podekscytowanym szeptem. Widocznie zbudziło ich panujące w holu zamieszanie.

- Całkiem zgrabnie go trafiłeś! ~ radosnym tonem dodał ksiązę, schodząc na dół. - Huknęło, jakby ktoś przyłożył w melon kijem do krykieta. Mam nadzieję, że go zabiłeś?

Niall pochylił się nad hrabią. W świetle świec zobaczył, że jego niedawny przeciwnik ma zdrowe rumieńce na twarzy i równy oddech. Szybki pomiar pulsu potwierdził optymistyczną diagnozę.

~ Nie - z ulgą odparł młodszy z braci Donnegalów, prostując się. Chociaż serdecznie nie cierpiał hrabiego, uważał, że niedobrze byłoby zaczynać karierę lekarską od zabójstwa. - Jest żywy, i to nawet bardzo.

- Jaka szkoda! - westchnął Euan. Jak na człowieka, którego akurat rankiem w Boże Narodzenie wyrwał ze snu szcęk oręża, był najwyraźniej w świetnym humorze. - Mam nadzieję, że przy następnej okazji bardziej ci się poszczęści.

Niall odwrócił się i spojrzał na Mairi, która rozszerzonymi oczami wpatrywała się w nieruchome ciało swojego opiekuna prawnego.

- Następnej okazji nie będzie - rzekł spokojnie.

- Tak, zapewne - z żalem przyznał mu rację Euan. - Ale może tak się szczęśliwie złoży, że pewnego dnia ja z kolei natknę się na Alistaira i będę miał szansę mu przyłożyć.

- Och, Euan! - zawołała jego żona.

Ksiązę zrobił zdziwioną minę, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że tuż przy nim stoi Irmgarda.

- No cóż... -Wzruszył ramionami. -Muszę przecież bronić swoich feudalnych interesów.

- Zupełnie zapomniałam o Occamie - wyszeptała Mairi, nie odrywając wzroku od Alistaira. - Tak się przejęłam Platonem, że Occam kompletnie wyleciał mi z głowy. Ale oczywiście masz rację, byłam głupia...

- Hmm - mruknął Niall, niezbyt pewny, na czym stoi, skoro smok został już zabity. - Czasem trudno dokładnie ustalić, jaka jest najprostsza prawda. Zwłaszcza jeśli od dzieciństwa wpajano nam tylko jedną jej wersję.

- Ale - Mairi przestała wreszcie wpatrywać się w nieprzytomnego hrabiego i spojrzała Niallowi prosto w oczy - powinna byłam sama się domyślić. Właściwie chyba nawet przeczuwałam, jak sprawy stoją, tylko że mimo wszystko się bałam. No bo a nuż jednak...

- A nuż jednak okazałoby się, że klątwa naprawdę działa - dokończył za nią Niall, znowu czując, że nie potrafi oderwać spojrzenia od jej szafirowych oczu. - Ale skoro już wiesz, że nigdy nie było żadnej klątwy...

Spuściła wzrok. Ujrzał w blasku świec, że oblała się rumieńcem.

- Skoro już wiesz, że nigdy nie było żadnej klątwy - powtórzył, oburącz ujmując jej dłoń - czy wydaje ci się, że

moglibyśmy jeszcze raz rozważyć propozycję, którą ci zrobiłem? Bo bardzo byłbym szczęśliwy, gdybyś zechciała jednak za mnie wyjść...

Mairi podniosła wolną rękę i położyła ją na jego nieogolonym policzku. Wyglądało na to, że jednodniowy zarost ani trochę jej nie przeszkadza.

- Oczywiście nie od razu - dodał, gdy minęła cała minuta, a ona wciąż milczała i tylko wpatrywała się w niego, jakby nagle ujrzała go w zupełnie nowym świetle. Bo tak też zresztą było. - Jeśli wolisz, możemy poczekać, aż nabierzesz pewności.

- Ale za dużo nie zwlekajcie - ostrzegł ich Euan, patrząc na hrabiego. - On zaczyna wracać do siebie. Właściwie lepiej będzie gdzieś schować ten rozeń.

Z tymi słowy zręcznie się schylił i podniósł z ziemi rapier.

- Teraz to już drobiazg - rzekła Mairi, nawet nie spojrzawszy w stronę Sutherlanda. - Teraz już nic nie może mi zrobić - dodała ze wzrokiem utkwionym w oczach Nialla. - A ja owszem, chętnie się zastanowię nad pytaniem, które mi pan wcześniej zadał.

Niallowi serce załomotało w piersi, a jego ręce - jak gdyby obdarzone własną wolą - objęły kibić dziewczyny.

- Niall - powiedział. - Mów mi Niall.

Już niebawem znowu oddali się zajęciom, które tak grubiańsko przerwał im hrabia Sutherland. I nie wcześniej wynurzyli się z namiętnego uścisku, nim ktoś, kto stał tuż obok, nie odchrząknął znacząco i rzekł:

- Pozwól, Niall...

Lord Donnegal oderwał usta od ust Mairi i spojrzawszy w kierunku, z którego dobiegł głos, zobaczył, że księżę i księżna stoją nieopodal i mają dość zażenowane miny. Widoczny za ich plecami hrabia Sutherland jęczał, trzymając się za głowę. Przekonany, że brat i bratowa zwracają się do niego w kwestii porady medycznej, Niall odparł:

- Dajcie mu trochę lodu i wyprawcie pacjenta do domu. Za parę dni po guzie nie zostanie nawet ślad.

Euan i Irmgarda wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- My nie o tym - rzekł księżę. - Chociaż, owszem, to co najmniej budujące, że tak się troszczysz o chorego. Ale głównie interesuje nas... I wybacz, że trochę nie nadążamy, jest przecież, bądź co bądź, dopiero piąta rano... Otóż głównie ciekawi nas to, czy aby się nie przesłyszeliśmy, że ty i ta dama chcecie się pobrać?

Odpowiedziała im Mairi, choć nie słowami. Z sekundy na sekundę ciemniejący rumieniec, który próbowała ukryć, kładąc twarz na ramieniu Nialla, wszystko obojgu wyjaśnił.

- Skoro tak, witaj! - odrzekła Irmgarda. - Witaj w naszej rodzinie, Mairi!

Dziewczyna wyciągnęła rękę i ujęła dłoń księżnej. Niall był pewien, że Mairi nie zdaje sobie sprawy, iż jego od wczoraj nieogolone wąsy nadały jej ustom, które całował, wybitnie różnany odcień.

- Dziękuję, wasza książęca mość - powiedziała dziewczyna, ale wyglądało na to, że sama nie zwraca większej uwagi na własne słowa. Całą zatopiona była w oczach Nialla, które - jak mu zresztą szepnęła przed chwilą, tonąc w jego objęciach - przypominały jej wilcze ślepie.

- Gwiazdkowe zaręczyny! - z entuzjazmem powiedziała Irmgarda, w której entuzjazm budziło wszystko, co miało jakikolwiek związek z Bożym Narodzeniem. - Och, uroczo! Natychmiast trzeba upiec ciasto. Gdzie kucharka? Czy już wstała? Muszę zaraz po nią iść...

I całkiem możliwe, że po nią poszła. Niall nigdy się tego nie dowiedział, zajęty wyłącznie trzymaną w ramionach dziewczyną - swoją gwiazdkową branką, która wydawała się gotowa, jeśli nie wręcz zachwycona, spędzić resztę życia z nim, właśnie z nim, tylko z nim.

Na ten widok książkę powiedział:

- Zdaje się, Mail, że w końcu jednak znalazłeś kobietę, która chętnie pojedzie z tobą na Borneo!

- Borneo? - Mairi rzuciła Niallowi pytające spojrzenie.

Ten uśmiechnął się do niej. Kiedy wreszcie przestało nad nią wisieć widmo klątwy i małżeństwa z hrabią Sutherlandem, okazała się nader dziarską osobką, ale chyba jednak nie dość dziarską, żeby jechać aż na Borneo.

- Właściwie wybieramy się tylko na wyspę Skye - sprostował, znów biorąc ją za rękę. Sprawiał takie wrażenie, jakby nie mógł wytrzymać ani chwili, nie dotykając jej. - Nic się nie bój.

- Och! - westchnęła z widoczną ulgą. - No tak, racja. Skye - powtórzyła jeszcze, jakby chciała sprawdzić, jak słowo to brzmi w jej ustach i czy jej się podoba.

Sądząc po tym, jak się uśmiechnęła, musiało jej się podobać ogromnie.

Ale ze ściśle medycznego punktu widzenia, jak sądzisz... - z całą powagą powiedziała Mairi.

- A co właściwie chciałabyś wiedzieć? - spytał Niall, leniwie sunąc palcem po jej nagim ramieniu.

- Czy byłbyś skłonny powiedzieć... Oczywiście wyłącznie na podstawie swojego lekarskiego doświadczenia...

- ...które jest już całkiem spore, jak wiesz - dokończył za nią. - Polega przecież na nim z górą setka rodzin.

- No właśnie. Otóż zastanawiam się...

Na dworze zaświstał raptem porywisty wiatr, aż w oknie zdrzały szybki w ołowianych ramkach. Pod ścianami domku leżały zasy śniegu. Morze - przed którego widokiem na wyspie Skye nie było ucieczki, dokądkolwiek by się poszło - szmaragdowe przez całe lato, dawno już zszarzało. Strumyk,

w cieplejszej porze roku radośnie szemrzący, pokrył się grubą taflą lodu, toteż goście odwiedzający domek doktorostwa nie musieli nawet przechodzić przez mostek, aby przedostać się na drugą stronę.

Ale w samym domku, choć zamiast solidnego dachu miał on zwykłą strzechę, było ciepło i przytulnie. W sypialni ogień płonął w kominku, rzucając pomarańczowe błyski na śnieżnobiałą, świeżo krochmaloną pościel. W łóżku zaś, pod wieloma pierzynami wypchanymi gęsim puchem, leżał lord Niall i jego żona, lady Mairi, znani mieszkańcom wyspy po prostu jako doktor i doktorowa Donnegalowie. Przekonawszy się, że miejscowi żywią wobec arystokracji nabożny lęk i za nic w świecie nie pozwoliliby jakimkolwiek przedstawicielowi tak wysokich sfer osłuchać się stetoskopem, postanowili zachować w tajemnicy to, iż oboje są potomkami książąt.

- No więc w jakiej kwestii chcesz zasięgnąć mojej bezstronnej profesjonalnej opinii, kochanie? - zapytał Niall. Zauważywszy, że nocna koszula żony nader powabnie zsuwa jej się z ramienia i odsłania znacznie więcej ciała, niż jej się wydawało, nie bardzo potrafił skupić się na omawianym zagadnieniu.

- Chodzi mi o nią - wyjaśniła Mairi, ruchem głowy wskazując niemowlę, które leżało między nimi. Oczy miało zamknięte, pierś unosił mu równy oddech, słowem, spokojnie sobie drzemało. - Powiedz, czy nie wydaje ci się... oczywiście jako lekarzowi, a nie zaślepionemu ojcu... czy nie wydaje ci się, że ona jest najpiękniejszym dzieckiem, jakie w życiu widziałeś?

Niall wyciągnął rękę i dotknął rudego puszku na główce swojej maleńkiej córeczki.

- Mam powiedzieć, co sądzę ze ściśle fachowego punktu widzenia? - upewnił się.

- Tak, oczywiście.

- No cóż, wedle mojego całkowicie profesjonalnego, bez-

uśmiechając się do żony -rzeczywiście nie zdarzyło mi się widzieć piękniejszego niemowlęcia. Mairi z powagą skinęła głową.

Mnie też tak się wydaje - oświadczyła. - I nie dość, że jest piękna, to jeszcze w dodatku bystra. Kiedy wymówiłam jej imię, spojrzała prosto na mnie, jakby doskonale wiedziała, że zwracam się właśnie do niej.

A ma przecież zaledwie tydzień. - Niall ze zdumienia aż pokręcił głową. - Coś niebywałego.

Wyśmiewasz się ze mnie - powiedziała Mairi, ale sama nie potrafiła już dłużej zachować udawanej powagi i chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się. - Poczekaj, zaraz ci udowodnię. No, popatrz. Pochyliła się nad dzieckiem i szepnęła mu do różowego uszka:

- Brenna.

Brenna Mairi Donnegal na sekundę otworzyła oczy, zamrugła ze złością, patrząc na rodziców, po czym szybko zamknęła powieki i z powrotem zasnęła.

Mój Boże, masz rację. - Niall westchnął. - Jest po prostu genialna.

Czy jest pan skłonny poprzeć tę opinię całym swoim lekarskim autorytetem, doktorze Donnegal? - żartobliwie spytała jego żona.

Tak - odparł, pochylając się nad dzieckiem, żeby pocałować jego matkę. - Zdecydowanie tak.